

MIŁOŚĆ NA SPRZEDAŻ



Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.org

Wydawca:

Stowarzyszenie Adeste, KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:

Bartłomiej Wojnarowski – bartlomiej.wojna-
rowski@adeste.org

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:

Piotr Bogdanowicz – piotr.bogdanowicz@
adeste.org

**Zastępca Redaktora naczelnego ds. harmono-
gramów i planowania:**

Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:

Krzysztof Działlik – krzysztof.dziallik@adeste.
org

Redaguje zespół w składzie:

Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięczni-
ka), Szymon Kozieja (kierownik działu kultura i
społeczeństwo), Konrad Myszkowski (kierow-
nik portalu adeste.org), Antonio Akmadża, Jan
Borowski, Jan Buczyński, Marcei Hejwowski,
Piotr Ulrich, Olga Wachowiec, Marcin Worek.

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Natalia Cywińska, Wojciech
Gałek, ks. Mateusz Kopa, Piotr Krajski, Krzysz-
tof J. Namysłak, Dawid Pindel, Tymoteusz Pyda,
Joanna Smarzyńska, Dorota Ślęczek, ks. Dawid
Sebastian Tyborski, Jakub Urbaniak, Krzysztof
Wojtyra,

Kadra techniczna:**Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:**

Maria Ulman

**Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub
oraz główny webmaster adeste.org:**

Maciej Laskowski

Statystyk Adeste:

Mateusz Kosson

Grafik miesięcznika:

Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:

Zofia Bryłka

Dział korekty:

Kinga Grodzka (kierownik działu korekty),
Dorota Białecka (zastępca kierownika działu
korekty), Mateusz Cich (korekta portalu),
Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas,
Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdale-
na Węglarz, Mikołaj Wolanin, Michał Żaczek,
Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek (kierownik działu rozwoju i pro-
mocji) – promocja@adeste.eu,
Mateusz Bartkiewicz, Zofia Bryłka, Tomasz
Leszczyński.

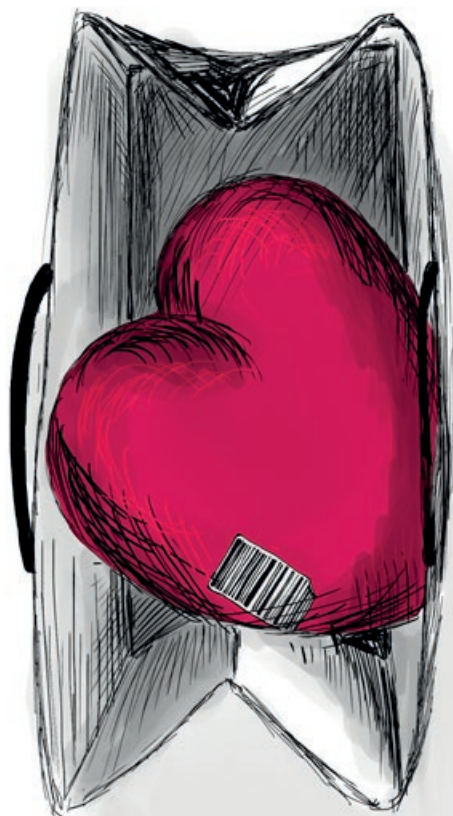
Konsultacja teologiczna:

Monika Adamska i Katarzyna Mich

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

**A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wspar-
ciem technicznym, finansowym czy organiza-
cyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+**



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

Za ile my kupimy miłość?

WIARA

- Biskup, patron zakochanych (i nie tylko).**
Dawid Pindel 4
CREDO 3.0
Tymoteusz Pyda 9
Emocjonalne oblicze św. Teresy z Lisieux
Dorota Ślęczek 13
Moje prawa i obowiązki w Kościele
Joanna Smarzyńska 19

WYWIAD

- Gdzie jest nasze serce?**
Piotr Ulrich 23

SPOŁECZEŃSTWO

- Gdy człowiek staje się surowcem...**
Szymon Kozieja 30
Czy dzisiaj potrzebne są osoby zakonne?
Dawid Pindel 36
Po Namysle: Warto poczekać z tym seksem
Krzysztof J. Namysła 44
Dobry bieg katolika
Wojciech Gałek 48
Pornografia: Widz
Jan Borowski 53

KULTURA

- Wola miłości**
Piotr Krajski 57
Czego pragnie chłopiec?
Jakub Urbaniak 62
Listy Pielgrzyma – wpis piąty
Tomasz Leszczyński 66



źródło: pexels.com

XXI wiek i miłość, brak miłości, a czasem jedno i drugie. Przyznam, że mam z tym tematem dość duży problem. Bo właściwie wszyscy mówimy i piszemy o miłości, ale chyba nie do końca sobie z nią radzimy.

W budowaniu dojrzałej miłości nie pomaga także współczesna cywilizacja. Nie pomagają nasze zmysły bombardowane wrażeniami i kolorami ze wszystkich stron ani elektronika, która stała się symbolem cywilizacji, ani też szybki dostęp do wszystkiego, który jest świeckim dogmatem. To wszystko nie pomaga w budowaniu trwałych relacji, a jeszcze bardziej w podejmowaniu decyzji na lata.

Zastanawiam się też, na ile my jeszcze kochamy, a na ile dokonujemy transakcji emocjonalnych ze wszystkimi, nawet z Bogiem. Internet pełen jest lifestylowych rekolekcji; półki uginają się od książek psychologów, którzy radzą, jak zrozumieć drugą osobę. Mimo to fala rozwodów wcale nie hamuje, młodzi ludzie popadają w marazm, a w szpitalach psychiatrycznych zaczyna brakować miejsc.

Nasz zachodni, cywilizowany świat staje się coraz bardziej chaotyczny. Tak jak w fizyce, rośnie w nim entropia. Zamiast porządku panuje stan, w którym z czasem wszystko staje się jeszcze bardziej skomplikowane i rozdrobnione. Młodzi Europejczycy gubią się w gąszczu idei, nauk, religii i pomysłów na życie. Chrześcijaństwo, tracąc swój społeczny monopol, nie jest już głównym, a jednym z wielu głosów.

Nie ukrywam, że w wizji, którą zarysowałem, prawdziwa miłość jest ekstremalnie trudna. W świecie duchowego chaosu, gdzie porno jest traktowane jakby było zwyczajną gałęzią rozrywki, a błyskawiczne rozwody już niewielu szokują, wierna, trwała i konsekwentna miłość staje się wręcz rodzajem manifestu społecznego.

Miłość w czasach komercji jednak istnieje. Świadczą o niej zastępy wolontariuszy w hospicjach. Opowiada o niej życie wielu ludzi poświęcających swe życie Bogu, m.in. gorliwych kapłanów czy wiernych małżonków.

Jest duchowo coraz ciemniej, to prawda. Ale przejdziemy tę drogę ponowoczesnej cywilizacji. Tylko nie chowajmy światła wiary pod kocem.



Z życzeniami dobrej lektury

Bartłomiej Wojnarowski, redaktor naczelny „Adeste”



źródło:unsplash.com

Biskup, patron zakochanych (i nie tylko)



Dawid Pindel

Luty to miesiąc, w którym w witrynach sklepowych często pojawia się kolor czerwony symbolizujący miłość i zwiastujący nadchodzące walentynki. Bo przecież 14 lutego w kalendarzu liturgicznym obchodzimy wspomnienie św. Walentego. Już od XV wieku szczególnym kultem otaczany jest on przez osoby zakochane, lecz mało kto wie, iż patronuje także ludziom ciężko chorym zarówno umysłowo, jak i fizycznie, takim jak epileptycy.

Imię Walenty wywodzi się od łacińskiego słowa *valens*, czyli mocny, potężny, zdrowy. Pod tym imieniem w *Martyrologium Rzymskim* widnieje szesnastu różnych świętych. Znajdziemy w nim jednak niewiele faktów z życia Walentego, ponieważ wspomniany jest on zaledwie dwa razy. Po raz pierwszy pojawia się jako kapłan ścięty podczas prześladowania za czasów Klaudiusza Gota, około roku 269/270 w Rzymie, przy via Flaminia. Za drugim razem przedstawiany jest jako Walenty z Terni, męczennik. Wielce prawdopodobnie, że chodzi tutaj o jedną i tę samą osobę, która była czczona w Rzymie i Terni. (por. *Św. Walenty Rzymianin* [w:] *opoka.org.pl*; Hoever H., *Żywoty Świętych Pańskich na każdy dzień*, 1985).

Kim zatem jest ów drugi święty? Chodzi o biskupa miasta Terni w Umbrii. Znany był on z tego, że jako pierwszy pobłogosławił związek małżeński między poganinem i chrześcijanką. Wysyłał też do swych wiernych listy o miłości do Chrystusa. Zginął w Rzymie w 273 r., gdyż nie chciał zrezygnować



Święty Walenty, aut. Lucas Cranach Starszy

źródło: wikimedia.org

z nawracania pogan. Dziś to właśnie on jest bardziej znany i to do jego grobu w katedrze w Terni ściągają liczni pielgrzymi. Na srebrnym relikwiarzu kryjącym niewielką część doczesnych szczątków biskupa znajduje się napis: „Święty Walenty, patron miłości”.

Nieraz też mówi się o Walentym z Terni jako o patronie epileptyków. W rzeczywistości chodzi tu o jeszcze innego świętego, który zmarł około 475 r. w Recji (na dzisiejszym pograniczu niemiecko-austriacko-szwajcarskim) i to właśnie jemu przypisywano moc uzdrawiania z tej choroby (por. *Święty Walenty: Mityczny patron zakochanych* [w:] *stacja7.pl*).

Dlaczego patron zakochanych?

Według jednej z legend, cesarz Klaudiusz II Got słynny był z absurdalnego zakazu zawierania małżeństw przez mężczyzn w wieku od osiemnastu do trzydziestu siedmiu lat. Sądził on, że dzięki temu młodzi ludzie chętniej będą służyć w jego armii, jak

również, że najlepszymi żołnierzami są legioniści niemający rodzin. Zakaz ten miał złamać przyszły św. Walenty, który w tajemnicy i wbrew nakazowi cesarza błogosławił śluby młodych kandydatów do armii. Inny przekaz mówi, że Walenty został za to wtrącony do więzienia, a tam zakochał się w ślepej córce swojego strażnika, która pod wpływem miłości odzyskała wzrok. Na wieść o tym cesarz kazał zabić Walentego. W przeddzień egzekucji Walenty miał napisać list do swojej ukochanej, podpisując go: „Od Twojego Walentego”. Tradycja wysyłania takich listów (oraz obchodów jego święta) zbiegła się z rzymskim świętem Iuperkaliów (por. *Św. Walenty Rzymianin* [w:] *opoka.org.pl*).

Luperkalia. Co to za święto?

Początków dzisiejszych walentynek szukać trzeba nie w chrześcijaństwie, lecz w pogańskim Rzymie. O ich dacie zadecydowała sama natura. W połowie lutego ptaki gnieźdzące się w Wiecznym Mieście zaczynały bowiem miłosne zaloty i łączyły się w pary. Uważano to za symboliczne przebudzenie natury, zwiastujące rychłe nadejście wiosny. Z tej racji Rzymianie na 15 lutego wyznaczyli datę świętowania luperkaliów – festynu ku czci boga płodności Faunusa Lupercusa. W przeddzień obchodów

odbywała się miłosna loteria, podczas której imiona dziewcząt zapisywano na skrawkach papieru, po czym losowali je chłopcy. W ten sposób młodzi ludzie stawiali się partnerami na czas luperkaliów. Bywało, że od-tąd chodzili ze sobą przez cały rok, a nawet zostawali parą na całe życie. Luperkalia były tak popularne, że utrzymały się aż do końca V w. Dopiero w 496 r. zniósł je papież Gelazy I, ustanawiając w ich miejsce święto męczennika Walentego odnotowane w *Martyrologium Rzymskim* (por. *Dlaczego warto modlić się o wstawiennictwo św. Walentego?* [w:] *pl.aleteia.org*).

Ikonografia

W ikonografii św. Walentego przedstawia się jako kapłana, czasami jako biskupa, w momencie, w którym uzdrawia on chłopca z padaczki. (Niewęglowski W., *Leksykon świętych*, 1999, s. 40). Jego kult szerzył się już w IV w., za czasów papieża Juliusza I.

Kult na świecie

Brak szczegółowych infor-



macji o św. Walentym nie przeszkodził jednak w szybkim rozwoju kultu. Już w IV w. otaczano szczególną czcią jego grób, a papież Juliusz I wzniósł nad nim bazylikę nosząca jego imię. Odnowił ją później papież Teodor I. Stała się ona prawdziwym sanktuarium i jednym z pierwszych miejsc pielgrzymkowych. W średniowieczu kult Walentego objął całą niemal Europę, a późniejszym okresie także Amerykę Północną. (por. *Święty Walenty, biskup i męczennik* [w:] *brewiarz.pl*)

W Austrii w dniu *Sankt Valentin* odbywają się uliczne pochody, a w Anglii zakochani ofiarują sobie kartonowe serca ozdobione postaciami Romea i Julii. W Ameryce zaś – po prostu wcześniej ludzie wysyłali sobie e-maile, a dzisiaj korzysta się z różnego rodzaju komunikatorów społecznościowych. Jednak najbardziej uroczyście obchodzi się ten dzień w ojczyźnie św. Walentego. Co roku, w niedzielę najbliższą 14 lutemu, w katedrze w Terni odbywa się Święto Zaręczyn. Zgromadzone przy grobie św. Walentego setki par przybyłych nieraz z różnych stron świata, przyrzekają sobie miłość i wierność na czas narzeczeństwa.

Kult w Polsce

Imię Walenty nadawano na chrzcie od początku średniowiecza. Świadczy to o kulcie tego patrona w całej Polsce. Jednym z pierwszych miejsc czci był teren diecezji przemyskiej, której został mianowany patronem. Później kult rozwinął się na terenie archidiecezji poznańskiej, a dokładniej w miejscowości Krobia. Święty posiada tam sanktuarium, a jego obraz umieszczono w ołtarzu głównym świątyni (por. Zalewski W., *Święci na każdy dzień*, 2008, s. 103).



W Polsce niektóre miasta do dziś posiadają relikwie św. Walentego (w tym Lublin, Kraków i Chełmno oraz Jasna Góra). Wszędzie tam w dniu wspomnienia świętego organizowane są uroczystości ku czci patrona zakochanych. Największe w Polsce odbywają się co roku na Warmii, w miejscowości Chełmno, gdzie noszą nazwę „Walentynki Chełmińskie”. (Por. *Dlaczego warto modlić się do św. Walentego* [w:] pl.aleteia.org)

Wcześniej w tradycji tego dnia do świątyń z ołtarzami z wizerunkiem św. Walentego matki przynosiły chore dzieci, aby za wstawiennictwem tego świętego prosić Boga o zdrowie dla nich. Najczęściej przynoszono dzieci chore na epilepsję, ale też i inne, szczególnie te dotknięte chorobami psychicznymi. Kapłan w tym dniu celebrował w ich intencji Eucharystię, później odczytywał fragment Ewangelii o uzdrowieniu przez Jezusa i kładł Świętą Księgę na głowie chorego, udzielając błogosławieństwa. Po tych modlitwach wielu chorych, szczególnie dzieci, szybko powracało do zdrowia (por. *Św. Walenty Rzymianin* [w:] opoka.org.pl).

Interesujące jest to, że w Rzymie relikwie znajdują się w kościele Santa Maria in Cosmedin, czyli w świątyni obrządku bizantyjskiego. Modlą się tam zazwyczaj melchici – Arabowie będący członkami Kościoła grekokatolickiego. Relikwie świętego przechowywane są także w grekokatolickiej cerkwi w Samborze na Ukrainie. Kult św. Walentego jest więc obecny zarówno w Kościele zachodnim, jak i wschodnim.

Warto też wspomnieć że nasz rodak, święty papież Jan Paweł II napisał w 1997 r. krótki list do zgromadzonych w Terni narzeczonych. Jego treść została wyryta na płycie wmurowanej w pobliżu grobu św. Walentego (por. *Dlaczego warto modlić się o wstawiennictwo św. Walentego?* [w:] pl.aleteia.org).

Modlitwa do św. Walentego

Istnieje piękna modlitwa do św. Walentego, którą może modlić się każdy z nas, aby uprosić potrzebne łaski. Brzmi ona następująco:

„Święty Walenty, opiekunie tych, którzy się kochają, Ty, który z narażeniem życia urzeczywistiłeś i głosiłeś ewangeliczne przesłanie pokoju, Ty, który dzięki męczeństwu przyjętemu z miłości zwyciężyłeś wszystkie siły obojętności, nienawiści i śmierci, wysłuchaj naszą modlitwę. W obliczu rozdarć i podziałów w świecie daj nam zawsze kochać miłością pozbawioną egoizmu, abyśmy byli pośród ludzi wiernymi świadkami miłości Boga. Niech ożywiają nas miłość i zaufanie, które pozwolą nam przezwyciężać życiowe przeszkody. Prosimy Cię, wstawiaj się za nami do Boga, który jest źródłem wszelkiej miłości i wszelkiego piękna, i który żyje i króluje na wieki wieków. Amen” (por. *Święty Walenty: Mityczny patron zakochanych* [w:] stacja7.pl).



CREDO 3.0



Tymoteusz Pyda

Co tydzień w niedzielę oraz w każdą uroczystość po homilii mamy okazję publicznego wyznania naszej wiary. Ale czy wiemy, w co wierzymy? A nawet jeśli, to czy jesteśmy w stanie uznać wiarę za coś racjonalnego?

Na koniec 2018 roku, według *Małego Rocznika Statystycznego 2019*, w Polsce były prawie 33 miliony wyznawców Kościoła katolickiego wszystkich obrządków (a więc również Kościołów: greckokatolickiego, ormiańskiego oraz neounickiego), ponad 45 tysięcy wiernych Kościołów starokatolickich, prawie 510 tysięcy prawosławnych oraz niemal 137 tysięcy członków Kościołów i zborów różnych nurtów protestanckich. Na podstawie wcześniejszych roczników możemy zauważyć wyraźny spadek wierzących, ponieważ w wydaniu z 2015 roku liczba osób deklarujących się jako katolicy to 33,7 milionów. Jednocześnie na całym świecie tendencje są zgoła inne, ponieważ według *Rocznika Statystycznego Kościoła (Annuario Statisticum Ecclesiae)* z roku 2016 liczba katolików nieznacznie, bo o 1,1%, wzrosła i wówczas wynosiła 1 miliard 300 milionów w skali całego globu. Czy takie zestawienie może nam, chrześcijanom znad Wisły, dawać poczucie samozadowolenia?

Absolutnie nie! Chociaż katolicy w Polsce to nadal 85% społeczeństwa, to jednak poziom świadomości na temat wiary zdaje się pogarszać. Według badania CBOS pt. *Zmiany w zakresie podstawowych wskaźników religijności Polaków po śmierci Jana Pawła II* z 2015 roku na przestrzeni dziesięciu lat (od

2005 do 2014) odsetek ludzi głęboko wierzących zmalał z 12% do 8%, przy jednoczesnym wzroście niewierzących z 4% do 8%, przy stałe utrzymującym się poziomie 84% osób wierzących. W tym samym czasie aż o 8% zmniejszyła się liczba wierzących i regularnie praktykujących oraz o 4% zwiększyła się liczba niepraktykujących. Najbardziej drastyczne zmiany możemy zauważyć przy autodeklaracjach dotyczących przestrzegania zasad wiary. Wierzących przestrzegających praw Kościoła z 66% w 2005 roku zostało tylko 39% w 2014, przy jednoczesnym wzroście liczby osób wierzących na swój własny sposób z 32% w 2005 do 52% w 2014. Źle się dzieje, gdy ktoś się dowiaduje przy krótkich konfesjonatał, iż w jego sposobie myślenia nie było odzwierciedlenia nauki Kościoła. Myślę jednak, że jeszcze gorzej się dzieje, gdy ktoś ma świadomość, iż próbuje stworzyć sobie zasady wiary w taki sposób, aby jemu było dobrze, i nic z tym nie robi. Następuje prywatyzacja religii, zaczynamy traktować wiarę jako supermarket, z którego można dowolnie wybierać „produkty”, najczęściej tylko te smaczne i łatwe w przygotowaniu. Duchowy fast food.

Bezwzględna statystyka

Kolejne dane z ww. badania także nie pozwalają nam oczekiwać dobrej przyszłości dla Kościoła w Polsce. Regularność modlitwy coraz bardziej spada, największy odsetek osób deklarujących się jako niewierzące mamy w przedziale wiekowym 18–24 oraz wśród osób posiadających wykształcenie co najmniej wyższe. Spada także niezachwiana wiara w Boga (56%). Tylko 36% badanych wierzy, że po śmierci czeka nas niebo, czyściec albo piekło, a 18% sądzi, iż śmierć jest definitywnym końcem. W posiadanie przez człowieka nieśmiertelnej duszy wierzy 69% badanych, przy czym w przeznaczenie, dobry lub zły los 68%. I o ile wiarę w niebo deklaruje 70% respondentów, to w piekło już tylko 56%. W komunikacie CBOS *Kanon wiary Polaków* możemy przeczytać: „Okazuje się, że odsetek dorosłych Polaków, którzy wierzą (mniej lub bardziej zdecydowanie) we wszystkie omawiane elementy wiary katolickiej, a więc w to, że Bóg wysłuchuje modlitw, w istnienie grzechu pierworodnego, w zmartwychwstanie, życie pozagrobowe, nieśmiertelną duszę, sąd ostateczny, niebo, piekło oraz w cuda, wynosi obecnie 35%. Jeśli od tej grupy odliczymy tych, którzy wierzą również w przynajmniej niektóre elementy wierzeń pozachrześcijańskich (takie jak przeznaczenie, reinkarnacja czy też w to, że zwierzęta mają duszę), to odsetek ten zmniejszy się do zaledwie 5%” (Boguszewski 2015).

Jak już pisałem, nie mamy powodów do triumfalnej satysfakcji. W tym roku obchodzić będziemy trzydziestolecie przy-



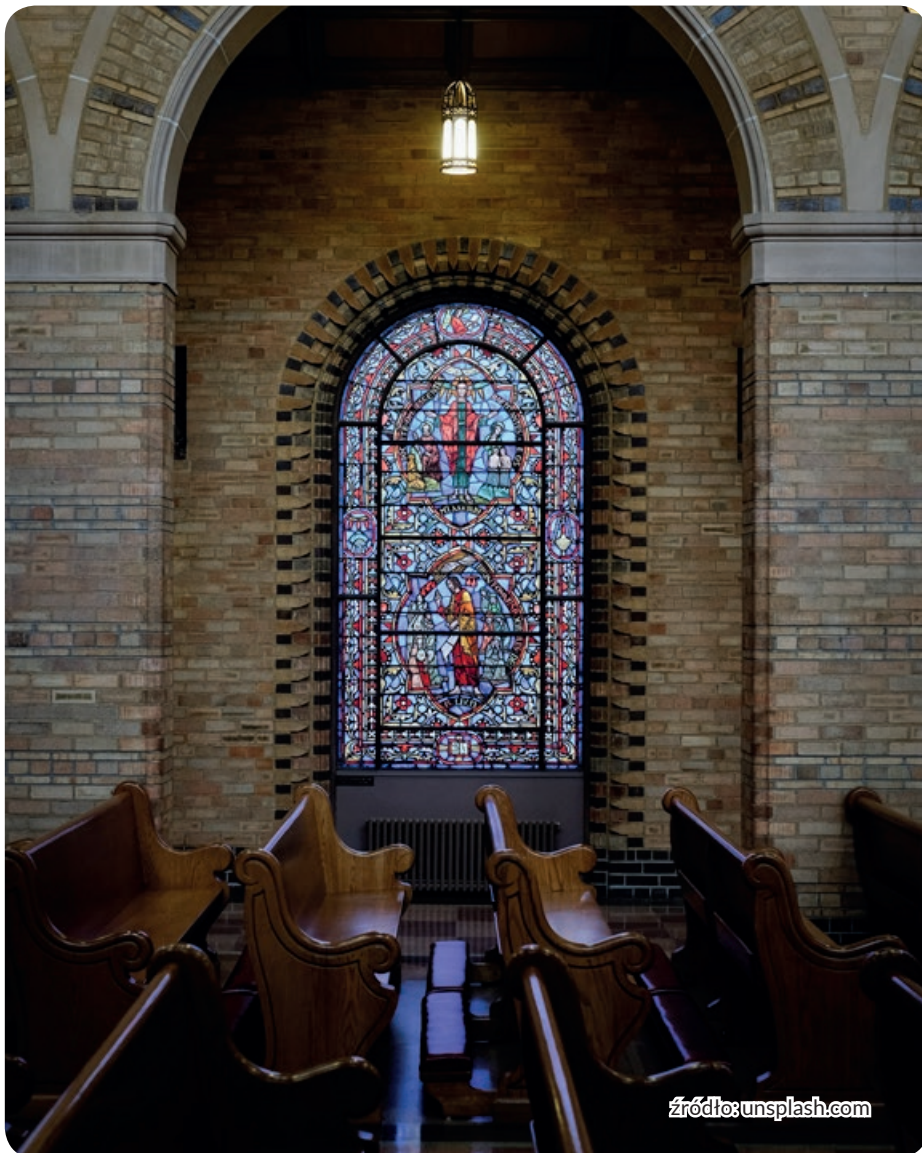
wrócenia lekcji religii do szkół. Czy można z niezachwianą pewnością świętować tę rocznicę jako radosne wydarzenie? Czy nie czas, aby podjąć zdecydowane kroki i zreformować system katechezy w Polsce? Jeśli dalej będziemy się łudzić i żyć w zgubnym samozadowoleniu, to już niedługo młodym pokoleniom ludzi bliżej będzie do rytualnych politeistów z antycznej Grecji czy Rzymu, niż do chrześcijan świadomie wyznających wiarę w Jezusa Chrystusa.

Wiara jako wyzwanie, także intelektualne

Czy potrafimy – tak, jak chrześcijanie w pierwszych wiekach naszej ery odpowiadający na prośby św. Piotra – skutecznie uargumentować sens tej nadziei, w którą wierzymy? Ogrom

bogactwa myśli apologetycznej Kościoła zachęca nas nieustannie do poznawania swojej wiary. *Katechizm Kościoła Katolickiego* wręcz zachęca do tego na samym swoim początku, gdy pyta: „Co to znaczy wierzyć?”. Czas na powrót do teologii dla mas, która będzie „rozumiejącym pojmowaniem Objawienia Bożego; jest wiarą szukającą zrozumienia” (Ratzinger J., *Prawda w teologii*, 2005, s. 15). W dobie powszechnego dostępu do informacji, gdy liczą się czasem nie minuty, a sekundy, w czasach kryzysu autorytetów, trzeba znaleźć sposób na innowacyjną edukację teologiczną, bo człowiek XXI wieku pragnie atrakcyjnej wiedzy i szuka jej znacznie częściej na serwisach typu YouTube czy Wikipedia, niż w opasłych tomiszczach bibliotek uniwersyteckich.

Warto w tym miejscu wspomnieć o dobrych miejscach w „polskim internecie”, gdzie można znaleźć fachowe, a jednocześnie interesujące materiały z szeroko pojętej teologii. Są to portale BibleNote+ (<http://www.biblenote.pl/>) oraz Copernicus College (<https://www.copernicuscollege.pl/>). Zaletą obu tych dzieł jest to, że są całkowicie po polsku oraz za darmo. Pierwsze skupia się na Piśmie Świętym, pokazuje jego piękno i głębię, uczy, jak można rzeczywiście usłyszeć Pana Boga na kartach Jego dzieła. Drugi to założony w 2014 roku pierwszy polski e-universytet, gdzie z wykładami zaglądają najlepsi polscy naukowcy. Warto zwrócić uwagę, że znajdziemy tam kursy poświęcone nie tylko religii, ale także rozumieniu wielu aspektów współczesnego świata, człowieka i ciągle rozwijającej się techniki.



źródło: unsplash.com

LOGOS

„Na początku było Słowo...”. Prolog Ewangelii św. Jana jasno wskazuje na to, że Bóg pragnie docie-
rać do człowieka nie tylko poprzez emocje oraz cuda, ale w dużej mierze poprzez rozum. Sumienie, ten
obecny w nas głos Stwórcy, pomagający nam dobrze wybierać, to także działanie umysłu. Chrześcija-
nin nie może się odciąć od swojej naturalnej potrzeby racjonalności, ale musi ją zaprzęgnąć do dobre-
go dzieła, czyli poznawania Dobrej Nowiny. Sobór Watykański II w konstytucji *Gaudium et spes* (pkt.
36) stwierdza: „Dlatego też badanie metodyczne we wszystkich dyscyplinach naukowych, jeżeli tylko
prowadzi się je w sposób prawdziwie naukowy i z poszanowaniem norm moralnych, naprawdę nigdy
nie będzie się sprzeciwiać wierze, sprawy bowiem świeckie i sprawy wiary wywodzą swój początek od
tego samego Boga. Owszem, kto pokornie i wytrwale usiłuje zbadać tajniki rzeczy, prowadzony jest
niejako, choć nieświadomie, ręką Boga, który wszystko utrzymując, sprawia, że rzeczy są tym, czym
są. Dlatego niechaj wolno będzie wyrazić ubolewanie nad niektórymi postawami umysłowymi, jakich
dawniej na skutek nie dość jasno rozumianej słusznej autonomii nauk nie brakowało także między sa-
mymi chrześcijanami, a które wywoławszy właśnie i spory doprowadziły umysłu wielu do przeciwsta-
wienia wiary i wiedzy”. Chrześcijanin XXI wieku musi zostać e-apostołem, nie tylko rozumianym jako
internetowy działacz, ale przede wszystkim jako osoba, która nie boi się rozwoju technologicznego
i w ten sposób dociera do wielu miejsc pozornie nieprzychylnych Panu Bogu.

a⁺

źródło: unsplash.com



Emocjonalne oblicze św. Teresy z Lisieux



Dorota Ślęczek

Młoda, dwudziestoczteroletnia karmelitanka, choć uważana za „dziewczynkę najbardziej kochaną na ziemi”, nie była świętą zbyt „przesłodzoną” i „lukrowaną”. Jej prawdziwe oblicze skrywało zranione serce, wyrażające nadmierną wrażliwość emocjonalną.

Gdyby św. Teresa z Lisieux żyła w naszych czasach, przydałaby się jej psychoterapia. Kiedy była małą dziewczynką, zapadła na „dziwną” chorobę o podłożu nerwicznym. Przeżywała niepokoje. Była rozkojarzona i drażliwa. Płakała z byle powodu. Zamartwiała się swoim zachowaniem. Przez swą nadwrażliwą naturę wpadła też w skrupuły. Rodzina stawiała na głowie, by pomóc małej Teresce. Dzisiaj dla ludzi naszego pokolenia tego typu zaburzenia stają się coraz większą plagą. Jak wynika z danych z raportu *Health at a Glance: Europe 2018*, co szósty Europejczyk zmaga się z zaburzeniami psychicznymi (Prawie 100 milionów Europejczyków cierpi na problemy psychiczne [w:] euractiv.pl).

Jakiś czas temu w drodze na Jasną Górę poznałam pewnego psychiatrę, który sam w przeszłości przeszedł gruntowną terapię. W swoim świadectwie wyznał, że jeśli człowiek chce szybko wrócić do zdrowia psychicznego, powinien skorzystać z pomocy psychologicznej, która jest dość bolesna. Zaznaczył również, że jeśli dołączy się do tego sferę duchową, która oparta będzie na budowie relacji z Bogiem, takie działanie wyda jeszcze większy owoc. Święta Teresa dokonała jednak tego w sposób du-

chowu poprzez głębokie zaangażowanie w budowaniu relacji z Jezusem i Maryją. To też jest metoda, jednak należy pamiętać, że proces dochodzenia do zdrowia jest zazwyczaj dłuższy niż sama psychoterapia, bo Bóg uzdrawia nas w łagodny sposób. Dlatego widząc, jak wokół mnie ludzie cierpią z powodu różnych chorób psychicznych, pragnę przybliżyć Ci, drogi Czytelniku, przykład świętej Tereski, która pokazała, że z takich dolegliwości człowiek jest w stanie wyjść.

„Najbardziej bolesny okres w życiu”

Los nie oszczędzał Tereski od najmłodszych lat. Nim skończyła pięć lat, straciła mamę, która zmarła na raka. Z osoby przebojowej, pełnej radości i słodczy Tereska stała się dziewczynką pełną smutku, zamkniętą w sobie, skłonną do płaczu i bardzo wrażliwą. Ten czas nazwała „najbardziej bolesnym w jej życiu”. Trwał on około dziewięciu lat. Tereska miała jeszcze cztery starsze siostry, które zajmowały się jej wychowaniem. W szczególności umiłowała sobie najstarszą, Paulinę, którą nazywała „drugą mamą”. Jednak nim skończyła dziewięć lat, siostra opuściła ją, gdyż poczuła powołanie do zakonu karmelińskiego. To jeszcze bardziej poraniło Tereskę, której „umysł i serce wydawały się być zbyt szybko dojrzałe, podczas gdy wrażliwość pozostała na poziomie dziecka”. Miała do siostry pretensje, że poszła do zgromadzenia sama, nie zaczekawszy na nią. Cierpienie psychiczne na tyle się pogłębiło, że dziewczynka zapadła na ww. „dziwną” chorobę objawiającą się atakami strachu (*Święta Teresa z Lisieux* [w:] *mateusz.pl*). „Kuzynka Teresy, Joanna Guérin, opisując początek tej dziwnej choroby, wyjaśnia, że Teresa była owładnięta »mocnym drżeniem«, które szybko kazało pomyśleć o febrze. Potem objawiało się to depresją, stanem półhalucynacji powodującym, że widziała różne przedmioty lub postępowanie otaczających ją osób pod postacią straszliwych form...” – można przeczytać w *Psychologii św. Teresy z Lisieux* (Gonzáles L. J., 2007, s. 21). Pewnego razu zaczęła bez przerwy wołać: „mamo, mamo”. Siostry stawiały na głowie, by pomóc cierpiącej Teresce. Zaczęły modlić się do Madonny, a dziewczynka, patrząc nią, stojącą w pokoju, zobaczyła, że ta porusza się i uśmiecha się do niej. W tym samym momencie

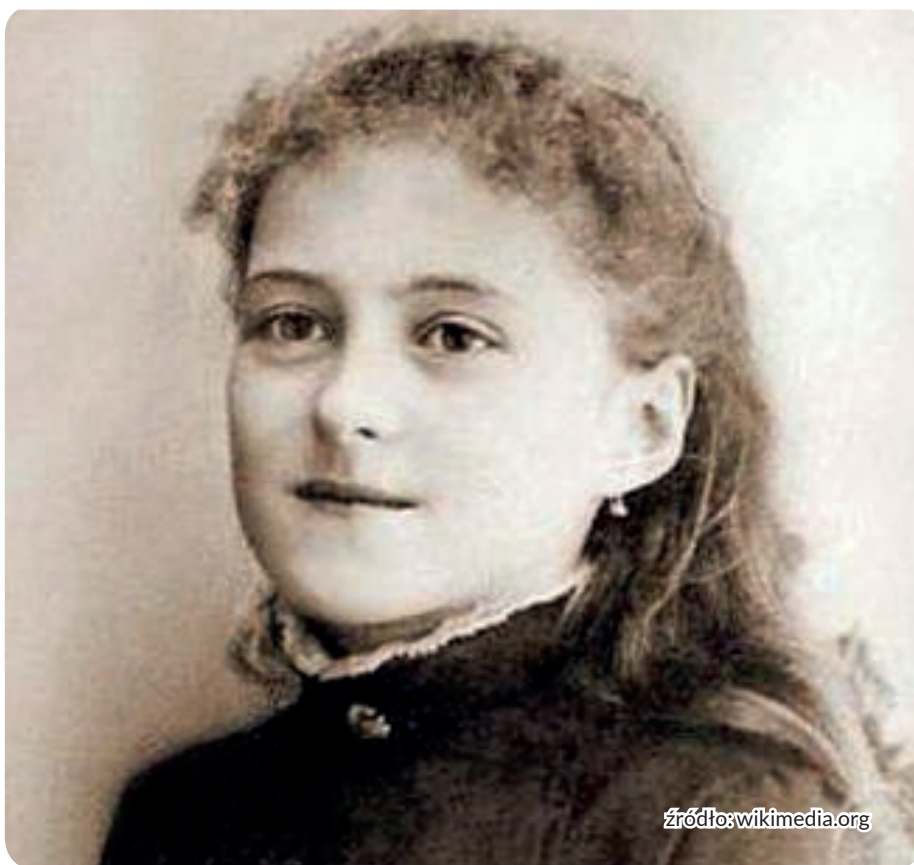


źródło: ytt.com

Tereska została uzdrowiona, jakby wyrwana z koszmarne snu. Wydawało się, że Tereski nie będą już męczyć żadne problemy emocjonalne. W wieku trzynastu lat jej druga siostra, Maria – „druga mama”, również wstąpiła do karmelitanek. U dziewczynki powróciły dawne lęki. W dodatku zaczęła też zapłatywać się w skrupuły (tamże).

„Najpiękniejszy okres życia”

W święto Bożego Narodzenia w 1896 roku Tereska otrzymała swój „mały cud”: „Przez moją zbyt dużą wrażliwość byłam naprawdę nieznośna, i tak, jeśli zdarzyło mi się niechcący sprawić jakąś drobną przykrość osobie, którą kochałam, zamiast przejść nad tym do porządku i nie płakać, co zwiększało mój błąd, zamiast go pomniejszać, rzewnie płakałam i kiedy już zaczynałam pocieszać się po samym uczynku, płakałam dlatego, że przedtem płakałam... Wszelkie odwoływanie się do rozsądku było bezużyteczne i nie udawało mi się poprawić z tej paskudnej wady” (tamże, s. 24). Po dziewięciu latach zmagania z bolesnymi emocjami znów stała się dziewczynką pełną radości, ufności, spokoju i przedsiębiorczości: „Od tej błogostawionej nocy nie byłam więcej wplątana w żadną walkę, lecz posuwałam się od zwycięstwa do zwycięstwa. Jezus mnie przemienił w taki sposób, że samej siebie nie mogłam poznać”. W ciągu kolej-



nych dwóch lat Tereska żyła w „najpiękniejszym okresie życia”, kiedy to Duch Boży wzrastał w serduszu nastolatki. Darzyła miłością wszystko to, co było wielkie i piękne (tamże). Jej nad wyraz dobre i wrażliwe serce ujawniło się, gdy dowiedziała się od taty, że pewien młody Włoch, Enrico Pranzini, zamordował dwie kobiety i małą dziewczynkę. Skazany na śmierć nie odczuwał żadnego żalu ani nie zamierzał skorzystać ze spotkania z księdzem. Poruszona do głębi Teresa „zaczęła się za niego modlić i ofiarowywać różne wyrzeczenia”, zamówiła także w jego intencji mszę świętą z prośbą o nawrócenie mężczyzny. Pragnęła ocalić swoje „pierwsze dziecko” – „od śmierci straszniejszej niż koniec naturalnego życia”. Mężczyzna do końca odrzucał możliwość spowiedzi, jednak gdy znalazł się na gilotynie, chwycił za krucyfiks i mocno go pocałował. Kiedy Teresa dowiedziała się o tym, zrozumiała, że jej modlitwa została wysłuchana (Zuchniewicz P., *Szukałem Was. Jan Paweł II i Światowe Dni Młodzieży*, Radom 2005, s. 104–105).

Okres życia zakonnego

Odkąd jej pierwsza siostra wstąpiła do karmelu, Tereska była przekonana, że ona również jest powołana do życia w klasztorze o surowej regule, lecz nie mogła zostać przyjęta przed osiemnastym rokiem życia. Boskie wezwanie było jednak tak mocne w sercu nastolatki, że ta udała się do papieża Leona XIII (1878–1903) do Rzymu. Podczas audiencji generalnej „upadła na kolana i prawie płacząc”, prosiła Ojca Świętego o zezwolenie na wstąpienie do karmelu w wieku piętnastu lat. Papież przyjrzał się upartej dziewczynce, która nie dawała za wygraną i powiedział jej, że wstąpi, jeśli Bóg tego zechce. Początkowo wydawało się, że pielgrzymka nie przyniesie oczekiwanego rezultatu. Jednak stał się cud. Przełożona diecezjalna była tak poirytowana podaniem dziewczynki, że za zgodą biskupa otworzyła jej drzwi do klasztoru. Nastolatka nie miała złudzeń co do życia zakonnego: „znalazłam [je] takim, jak to sobie wyobrażałam; żadne cierpienie mnie nie dziwiło”. Mogła w pełni rozsmakować się w Bożej łasce, choć nie było jej łatwo – przełożona traktowała ją w wyjątkowo surowy sposób. W dodatku, została też na początku swej służby naznaczona „niezapomnianym bólem” spowodowanym chorobą psychiczną ojca. Ktoś nawet wyszeptał w klasztorze, że siostry Martin stały się „córkami wariata”. Jednak Teresa, pełna wiary, powiedziała pewnego razu do ojca: „pragnę stać się twoją chwałą, zostać wielką świętą”, a do przestraszonych sióstr: „w niebie oświeci nas nawet jeden z jego białych włosów!” Dziewczyna przyjęła imię Teresy od Dzieciątka Jezus. W ten sposób Teresa powierzyła się Dzieciątku Jezus. Stała się Jego zabawką, którą można odrzucić, przycisnąć do serca albo kopnąć nogą, a następ-

nie z niepokojem szukać. Kiedy Teresa cierpiała, wyobrażała sobie, że Dziecię Jezus odrzuca albo chwilowo zaniedbuje zabawkę, albo ją rozrywa, żeby zobaczyć, jak została zrobiona. W swoim programie duchowym postanowiła pozostać przed Bogiem dzieckiem, które bez strachu powierza się Mu, przyjmując to, że „podstawą wszystkiego jest świadomość przynależności, pewności, że ma się Ojca” (tamże). Choć zmagania Teresy związane z trudnymi emocjami i skrupułami odeszły w niepamięć, to dotknęły jej kuzynkę, Marię Guérin. Pewnego razu dziewczyna napisała do Teresy list, w którym opisała swoje udręki po wizycie w Paryżu, mie-



Tereska grająca św. Joannę d'Arc w przedstawieniu, które sama napisała

źródło: wikimedia.org

ście nie do zniesienia: „Znowu cię zamęczam, i z góry wiem, że nie będziesz ze mnie zadowolona, ale czego byś chciała? Cierpię teraz tak bardzo, że dobrze mi robi, gdy mogę przelać moje bóle w twoje serce. Paryż nie jest stworzony do tego, by leczyć skrupulantów. Nie wiem, gdzie kierować swoje spojrzenia; jeśli uciekam od jednej nagości, spotykam następną, i tak przez cały dzień. Można umrzeć ze smutku. Wydaje mi się, że to przez ciekawość muszę wszędzie spoglądać; wydaje mi się że rozglądam się, aby widzieć zło. Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale tyle tego w mojej głowie, że nie mogę sobie z tym dać rady.



źródło: wikimedia.org

A diabeł ponadto nie zwleka, aby przypomnieć mi te wszystkie okropne rzeczy które widziałam w ciągu dnia, i jest to dla mnie dodatkową udręką”. Dla Teresy, która doświadczyła choroby skrupułów, problem był oczywisty. Wiedziała, że „pokusy nie są żadnym grzechem”. Grzech to świadome i dobrowolne odrzucenie dobra, co w tym przypadku mogło być jedynie „brakiem ufności wobec Jezusa”. Dlatego św. Teresa uspokajała krewną: „Nie zrobiłaś nawet cienia zła. Wiem dobrze, czym są tego rodzaju pokusy, i dlatego mogę cię o tym zapewnić bez obawy, a poza tym Jezus w głębi mego serca mi o tym powiedział. Trzeba gardzić takimi pokusami, nie zwracać na nie w ogóle uwagi” (*Pomoc w skrupułach* [w:] *mateusz.pl*).

Okres przedśmiertny

Pragnieniem Teresy było ofiarowanie się „Bożej sprawiedliwości, aby przyjąć na siebie zsyłane kary na grzeszników”. W wieku dwudziestu dwóch lat poprosiła przełożoną o pozwolenie w tej kwestii, tłumacząc, że ta miłość „jest tysiąc razy bardziej wymagająca niż sprawiedliwość”. Rok później dziewczyna zachorowała na gruźlicę, co odczytała jako zapowiedź jej śmierci. Ofiarowała to cierpienie Jezusowi, aby towarzyszyć Mu w Jego męce: „Jezus pozwolił, aby moja dusza została okryta gęstą ciemnością i aby myśli o niebie, tak dla mnie przyjemne, nie stały się niczym innym jak powodem do zmagania i niepokoju”. W ostatnich miesiącach swojego życia doświadczyła okrutnego cierpienia. W szczególności bolało ją to, jak wiara jest mocno atakowana przez antyklerykałów. Pewnego razu powiedziała siostrze: „Żebyś wiedziała, jak straszne myśli mnie dręczą. Módl się usilnie za mnie, abym nie słuchała diabła, który chce, bym wierzyła w wiele łgarstw. Argumenty wielu materialistów wciskają się w mój

umysł. To wszystko, później, dzięki nowym odkryciom i postępowi w nauce znajdzie naturalne wyjaśnienie i otrzymamy wytłumaczenie ostateczne tego, co istnieje, i co teraz stanowi problem jedynie dlatego, że jest jeszcze wiele spraw do odkrycia. Och, matko moja, nie powinno być nigdy podobnych myśli, kiedy tak bardzo kocha się Boga! Jednak ofiaruję te bolesne potworności, aby otrzymać wiarę dla biednych niewierzących, za tych wszystkich, którzy oddalili się od nauki Kościoła”. Teresa dzielnie przyjmowała zanurzenie w ciemnościach, znosząc ogromne bóle. Choroba wyniszczyła jej płuca, przez co miała problemy z oddychaniem: „Gdybyście wiedziały, co znaczy nie być w stanie oddychać! Jeżeli duszę się, Bóg daje mi siły. Każdy oddech sprawia mi straszliwy ból, jednak nie jest tak wielki, żebym musiała krzyczeć”. A patrząc na obraz Madonny, mówiła: „Święta Dziewico, ty wiesz, jak się duszę! Brakuje mi ziemskiego powietrza, kiedyż Pan mi da powietrze niebieskie?”. Teresa zmarła 30 września 1897 roku jako „mała święta” (tamże).

Święta Teresa z Lisieux, dzięki swoim trudnym doświadczeniom z dzieciństwa, wypracowała strategię rozwoju, którą na nowo stworzyła psychologia końca XX wieku. Pisarz Maxence van der Meer-sch w książce *La petite Thérèse de Lisieux* (1937, s. 180 i nast.) z uznaniem mówi o „wyjątkowej intuicji psychologicznej świętej Teresy”. Hans Urs von Balthasar, najbardziej światły teolog Kościoła XX wieku, uczynił to uznanie własnym i dodał: „W związku z tym Teresa jest przede wszystkim geniuszem poznania siebie, najdoskonalszym (najdocieklivszym) psychologiem czasów nowożytnych” (González L. J., 2007, s. 10). Jan Paweł II podczas pielgrzymki do Lisieux, w czerwcu 1980 roku, powiedział: „Dziękujemy świętej Teresie z Lisieux. Dziękujemy za proste i czyste piękno, które w niej się objawiło Kościołowi i światu. To piękno zachwyca, nawet gdy rozumiemy, jak było trudne, piękno wzrastające w cierpieniu. Ale piękno istnieje, ponieważ zachwyca poprzez działanie. Poprzez najważniejsze działanie, w którym człowiek rozumie swoje człowieczeństwo” (tamże). Możemy również być wdzięczni Panu Bogu za to, że stworzył Tereskę nad wyraz emocjonalną, gdyż dziś takie osoby o wysokiej wrażliwości są odrzucane przez społeczeństwo, a widząc w niej przykład, mogą się z nią utożsamiać, uznając za duchową przyjaciółkę, do której można modlić się w tych sprawach (*To nie są czasy dla wrażliwców* [w:] *polityka.pl*).



źródło: wikimedia.org



źródło: unsplash.com

Moje prawa i obowiązki w Kościele



Joanna Smarzyńska

„Księża powinni być wykształceni, otwarci, wierzący, pobożni...” – mamy w stosunku do nich ogromne wymagania. I dobrze. Jak często jednak zastanawiamy się nad obowiązkami, które Kościół nakłada na nas? I nie chodzi o to, jakie Kościół wymienia grzechy, lecz obowiązki, które wynikają z racji przynależności do niego. Czy wiemy, że jako członkom wspólnoty Kościoła przysługują nam również uprawnienia? Dziś postaram się przybliżyć właśnie te ostatnie, które zawiera księga II Kodeksu prawa kanonicznego zatytułowana *Lud Boży*.

Aby odpowiedzieć na postawione wyżej pytania, musimy się na początku zastanowić, kogo możemy nazwać ludem Bożym. W tym określeniu zawierają się zarówno duchowni, jak i świeccy. Co ciekawe, ten termin ma podkreślać równość członków Kościoła katolickiego. Wcześniej bowiem, w Kodeksie z 1917 r., nacisk kładziono na hierarchię w Kościele, silnie podkreślając rozróżnienie między duchownymi a świeckimi. Dziś zaznacza się, że zarówno duchowni, jak i świeccy są członkami jednego Kościoła, a chociaż różni ich rodzaj stawianych przed nimi zadań, obecność obu grup we wspólnocie jest równie ważna.



Lud Boży

Składają się na niego wszyscy wierni, czyli zarówno świeccy, jak i duchowni. Warto zwrócić uwagę na wyrażenie „lud Boży”. Otóż rzeczownik „lud” wskazuje na to, iż Kościół tworzy wspólnota ludzi, której przyświeca wspólny cel. Przymiotnik „Boży” oznacza zaś, że wspólnota ta ma wymiar nadprzyrodzony – w tym sensie, że podstawy jej istnienia wynikają z zamiaru Bożego (por. Dyduch J., Góralski W., *Komentarz do Kodeksu prawa kanonicznego*, t. II, 2006).

Część pierwsza księgi zawiera ustęp zatytułowany *Wierni*, którymi, zgodnie z kan. 204, „są ci, którzy przez chrzest wszczępieni w Chrystusa, zostali ukonstytuowani Ludem Bożym i stawszy się z tej racji na swój sposób uczestnikami kapłańskiego, prorockiego i królewskiego posłannictwa Chrystusa, zgodnie z własną każdego pozycją, są powołani do wypełniania misji, jaką Bóg powierzył pełnić Kościołowi

w świecie”. Zatem aby korzystać z praw i obowiązków w Kościele, niezbędne jest przyjęcie chrztu przy użyciu wody i wypowiedzenie odpowiedniej formuły, odwołując się do Trójcy Świętej. Sakrament ten nie tylko włącza osobę we wspólnotę Kościoła, ale również tworzy szczególną więź duchową między nią a Chrystusem. Obowiązkiem ochrzczonego staje się uczestnictwo w potrójnym zadaniu Chrystusa i Kościoła, tj. kapłańskim, prorockim oraz królewskim.

Zadanie kapłańskie dotyczy wszystkich wiernych – nie tylko duchownych – i przejawia się w przyjmowaniu sakramentów, w tym w szczególny sposób w korzystaniu z Eucharystii. Zadanie prorockie to nic innego jak pogłębianie i zachowywanie wiary, posiadanie charyzmatów oraz głoszenie wiary nie tylko słowem, ale także osobistym świadectwem. Królewskość oznacza zaś służenie innym na wzór Chrystusa. Sam chrzest jednak nie wystarcza do pozostawania w pełnej wspólnocie Kościoła.

Konieczne jest, jak głosi kan. 205, spełnienie trzech warunków. Pierwszy to zgadzanie się z wszystkimi objawionymi prawdami wiary oraz trwanie przy nich. Drugim z nich jest przyjmowanie sakramentów, a ostatnim – akceptacja hierarchiczności Kościoła.

Co znajdziemy w tytule?

Kan. 208-223 wskazują na obowiązki wszystkich wiernych. W kan. 224-231 natomiast zawarte są obowiązki wiernych świeckich. Następnie tytuły III i IV dotyczą duchownych, w tym takich kwestii jak np. utrata stanu duchownego. Bardzo przydatnymi kanonami są zwłaszcza te zawarte w części V. Poświęcone są hierarchiczności Kościoła, systematyzują obowiązki poszczególnych władz Kościoła, dzieląc je na: najwyższą (biskup rzymski wraz z kolegium biskupów) i pozostałe organy (m.in. synod biskupów czy kolegium kardynałów). To szczególnie ważne w kontekście niedawnego synodu amazońskiego i dezorientacji wiernych odnośnie do jego potencjalnych następstw. Pragnę zauważyć, że zgodnie z kan. 342, synod ma jedynie funkcję doradczą, a nie prawodawczą (w szczególnych przypadkach może jednak otrzymać takie uprawnienie od biskupa Rzymu).

Obowiązki i uprawnienia wszystkich wiernych chrześcijan

Skupmy się jednak na razie na obowiązkach wszystkich wiernych. Kan. 209 wskazuje, że jesteśmy obowiązani do zachowywania ciągłej łączności z Kościołem. Jak głoszą dalsze przepisy, musimy prowadzić życie święte i przyczyniać się do wzrostu Kościoła. Są to dość oczywiste kwestie. Ale czy to znaczy, że mamy, jak wielu osobom się wydaje, bezmyślnie chłonać wszystko, co płynie z parafialnej ambony? Na to pytanie znajdziemy odpowiedź w kan. 212. Jako wierni powinniśmy szanować duchownych i być posłuszni biskupom w zakresie deklaracji, które wydają jako nauczyciele wiary, następcy apostołów lub ustanowiciele norm prawnych oraz ich wykonawcy.

Posłuszeństwo to posiada jednak pewne granice, które wyznaczają normy prawne, wynikające m.in. z *Kodeksu prawa kanonicznego*. Decyzje biskupów wykraczające poza ich kompetencje nie są dla nas wiążące. Kan. 212 §2 określa uprawnienie wiernych, którym jest prawo petycji dotyczące zarówno potrzeb wiernego, jak i Kościoła. Biskup ma obowiązek odpowiedzieć na petycję. Z kolei §3 tegoż kanonu wskazuje na wolność pozostawiania przy własnych poglądach osobistych oraz kształtowania opinii publicznej w Kościele. Oczywiście nie jest to uprawnienie absolutne, a granice wyznacza tu chociażby szacunek wobec autorytetu pasterzy czy zgodność z zasadami wiary.

Jedna, nieomylna duchowość

Tylko Tridentina czy może adoracja z gitarką? Na to pytanie Kościół odpowiada, w kan. 214 określając dwa podstawowe prawa wiernych – prawo do własnego obrządku (oczywiście w granicach norm liturgicznych) oraz do własnej duchowości. Kościół podkreśla, że dróg do świętości jest wiele, a każdy człowiek przeżywa ją indywidualnie. Wspomniana zasada łączy się z prawem wiernych do świętości i do stowarzyszania się. To uprawnienie z kolei podlega jednak ocenie ze strony władz kościelnych, które oceniają działalność wiernych w kwestii jej zgodności z nauką Kościoła.

Wierni świeccy i jego szczególne zadania

Nie wystarczy co tydzień w niedzielę stanąć za filarem w kościele. Kan. 225 nakłada na nas obowiązek głoszenia Słowa Bożego, by było ono poznane przez wszystkich ludzi na całym świecie. Kościół przydziela zadania w zależności od roli, jaką pełni w społeczeństwie. Małżonkowie powinni dążyć do uświęcania swojej rodziny, rodzice przyczyniać się do budowania wiary w swoich dzieciach. Kan. 227 wskazuje na to, że życie religijne nie jest rzeczywistością oddzieloną od codziennego życia. Zasadami wiary mamy się kierować w działalności na wielu płaszczyznach, pełniąc różne role społeczne. Kolejny z kanonów nadaje świeckim uprawnienie do świadczenia funkcji doradczych hierarchom Kościoła. Przykładem takiego działania jest istnienie Papieskiej Rady Świeckich oraz innych komisji biskupich, których członkami są także wierni świeccy o odpowiedniej wiedzy oraz kompetencjach.



źródło: pexels.com

Podsumowanie

Nieemożliwe byłoby opisanie wszystkich obowiązków i uprawnień ludu Bożego w jednym artykule prasowym. Warto więc samodzielnie zerknąć do tej księgi *Kodeksu prawa kanonicznego* i przyjrzeć się poszczególnym kanonom. Jak bardzo różniłyby się klimat dysput na różne „kościelne” tematy, gdybyśmy mieli podstawową wiedzę z zakresu obowiązującego nas prawa. Bez niej jesteśmy trochę jak kierowca samochodu, który nie zna aktualnych przepisów prawa drogowego. Prędzej czy później popełni on przestępstwo – i ten właśnie aspekt, oczywiście w kontekście prawa kanonicznego, rozważymy w następnym artykule.



Gdzie jest nasze serce?



Z ks. dr. hab. Piotrem Kieniewiczem MIC rozmawiał Piotr Ulrich

Często formułujemy tezę, że dzisiejszy świat oszalał na punkcie pieniędzy, zysku i chęci posiadania. Czy człowiek, będący produktem takiej cywilizacji, odnajdzie się w sytuacji, w której będzie chciał kogoś pokochać? O problemie miłości w czasach komercji rozmawialiśmy z ks. dr. hab. Piotrem Kieniewiczem MIC – specjalistą w zakresie teologii moralnej.

P.U.: Księżu Profesorze, czy będąc nastawionym na zysk, człowiek może prawdziwie kochać?

P.K.: To pytanie odnosi się do priorytetów i do definicji miłości. Jeśli człowiek troszczy się o zysk, który jednak nie jest celem samym w sobie, to oczywiście istnieje możliwość, że są dla niego rzeczy ważniejsze. Jak jednak rozumiem, nie tego dotyczy pytanie. Chodzi o sytuację, gdy zysk i pieniądze są sprawami kluczowymi – innymi słowy, mamy do czynienia z czymś, co Biblia nazywa bałwochwalstwem. Korzeniem wszelkiego zła – jak mówi św. Paweł – jest chciwość pieniędzy. Jeżeli tak, to znaczy że albo pieniądze służą wzrostowi ludzkiej pychy, albo człowiek zupełnie stał się ich niewolnikiem. W obu wypadkach trudno mówić o otwarciu się na miłość ukazywaną przez Słowo Boże – jako bezinteresowny



dar z siebie. Jeśli ktoś jest skupiony na sobie, wszystko sobie podporządkowuje i zainteresowany jest tym, by mieć coraz więcej, bo daje mu to poczucie bezpieczeństwa, władzy i niezależności, to nie ma w nim miejsca na dar. Tym bardziej tam, gdzie człowiek jest niewolnikiem i nie potrafi funkcjonować bez pieniędzy. Chciałbym się tu odnieść do niezwykle istotnej kwestii: można być niewolnikiem pieniędzy, nie posiadając ich. Człowiek może być chciwy, nie mając pie-

niędzy. Jest wtedy zależny od tego, o czym myśli, czego pożąda, czego łaknie i czego jest straszliwie głodny, jednak tego nie posiada. Podstawą tego głodu jest zawiść i zazdrość. Człowiek myśli o tym, co mógłby mieć i skupia się na chęci posiadania. Słowo mówi, że „gdzie skarb twój, tam i serce twoje” (Mt 6, 21). Jeśli się jest niewolnikiem pieniędzy, trudno mówić o miłości, bo serce ludzkie jest już zajęte czym innym.

P.U.: Jeśli zatem serce skomercjalizowanego społeczeństwa jest zajęte gonitwą za pieniądzem, a młodzi ludzie są podatni na kształtowanie ze strony swojego otoczenia, to do jakiej „miłości” wychowuje ich świat?

P.K.: Najbardziej zainfekowani podejściem konsumpcyjnym nie są jednak ludzie młodzi, a pokolenie dorosłych w wieku 30–50 lat, którzy byli wychowani przez kogoś, kto doświadczył biedy komunizmu i zachłysnął się bogactwem. Dla kogoś takiego wszystko jest dostępne – jednocześnie jest on bombardowany obrazami społeczeństw, które mają jeszcze więcej i jeszcze łatwiej im to osiągnąć, też więc chce konsumpcyjnie równać do tego poziomu. Żyje więc na kredyt, tak jak społeczeństwa zachodnie. To pokolenie ma w pewien sposób przetrącony kręgosłup moralny w odniesieniu do konsumpcji. Siłą rzeczy wychowują oni młode pokolenie, jednak wśród młodych ludzi łatwiej jest wykrzesać ideał, który się utrzyma. Da się wśród nich wyodrębnić grupę, która jakkolwiek bombardowana tym konsumpcyjnym modelem, jest na niego w jakiś sposób odporna. Z jednej strony dlatego że zderzyła się z beznadziejnym (w sensie: pozbawionym nadziei) modelem życia swoich rodziców i chce w jakiś sposób zaprotestować, więc szuka uważnie i jest wymagająca, bądź też spotkała się z jakimś świadectwem i pragnie przyłączyć się do kogoś, kto jest świadkiem. Młodzi (w wieku 16–25 lat) są pokoleniem, które jest złaknione ideałów i można ich stosunkowo łatwo formować, pociągnąć, zapalić. Problem jednak niewątpliwie istnieje. Mamy do czynienia z modelem, w którym człowiek korzysta z życia, tj. z hedonizmem. Jednym z powodów takiego zjawiska jest, w moim odczuciu, pewien kryzys moralności, jaki możemy zaobserwować we współczesnej Europie. Wynika on z ogromnego rozczarowania ludzkością,

która odcierpiawszy dwie wojny światowe, później zaś agresywną zimną wojnę i zagrożenie nuklearnym unicestwieniem, weszła w postawę, którą można scharakteryzować w następujący sposób: „lepiej dzisiaj się zabawić, mieć przyjemność z życia, niż starać się żyć porządnie w sytuacji, gdy życie zaraz może się zakończyć”. Ta pokusa jest charakterystyczna dla czasów powojennych, dla społeczeństw dotkniętych straszną katastrofą. Mimo tego że kryzys dotyczył głównie obszaru Europy, to jego odłamki dotknęły najdalszych krańców świata, bo dzisiejszy świat stał się globalną wioską. Myślę więc, że u podstaw wszystkiego leży właśnie brak nadziei, natomiast niesie on za sobą kolejne konsekwencje. Zagubiliśmy moralną jakość, świat wszedł w jakąś przedziwną pustkę, którą zagospodarowano agresywnymi modelami zdemoralizowanymi, związanymi z ideologią gender, z rozpasaniem seksualnym, ale także z kryzysem religii i wiary – indywidualnym i społecznym. Zagubiliśmy, jako społeczeństwo, naszą chrześcijańską tożsamość. Chrześcijańska cywilizacja Europy, którą znamy od czasów apostołskich do dziś, w moim odczuciu kona albo już skonała i funkcjonuje już tylko w ograniczonym zakresie. Z religijnego punktu widzenia w tę pustkę wszedł niezwykle agresywny islam. Europy, którą znali nasi dziadkowie, już nie ma. Model funkcjonowania wedle hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna”, który dla naszych przodków był oczywisty, dla ogromnej części społeczeństwa polskiego jest niezrozumiały, karykaturalny i śmieszny.

P.U.: Czy zatem można mówić o miłości międzyludzkiej w takiej rzeczywistości?

P.K.: W takim społeczeństwie nie ma miłości międzyludzkiej. Brakuje wolności postrzeganej jako zdolność wyboru prawdy i dobra. Wybieram to, co rozpoznałem jako wartościowe – to jest wolność. Sytuacja mną nie kieruje. Nawet gdy wszystko jest przeciwko mnie, to idę pod prąd. W momencie gdy społeczeństwo jest pozbawione kręgosłupa moralnego i płynie z prądem rzeki jak martwa ryba, nie ma miejsca na wyjście ku drugiemu człowiekowi, bo to kosztuje. Nie ma miejsca na dar z siebie, ponieważ to kosztuje, nie ma miejsca na czynienie dobra, ponieważ to też generuje koszty. Istnieje natomiast nastawienie na siebie, aby nie bolało i było przyjemnie. W takim społeczeństwie nie ma miejsca na miłość.



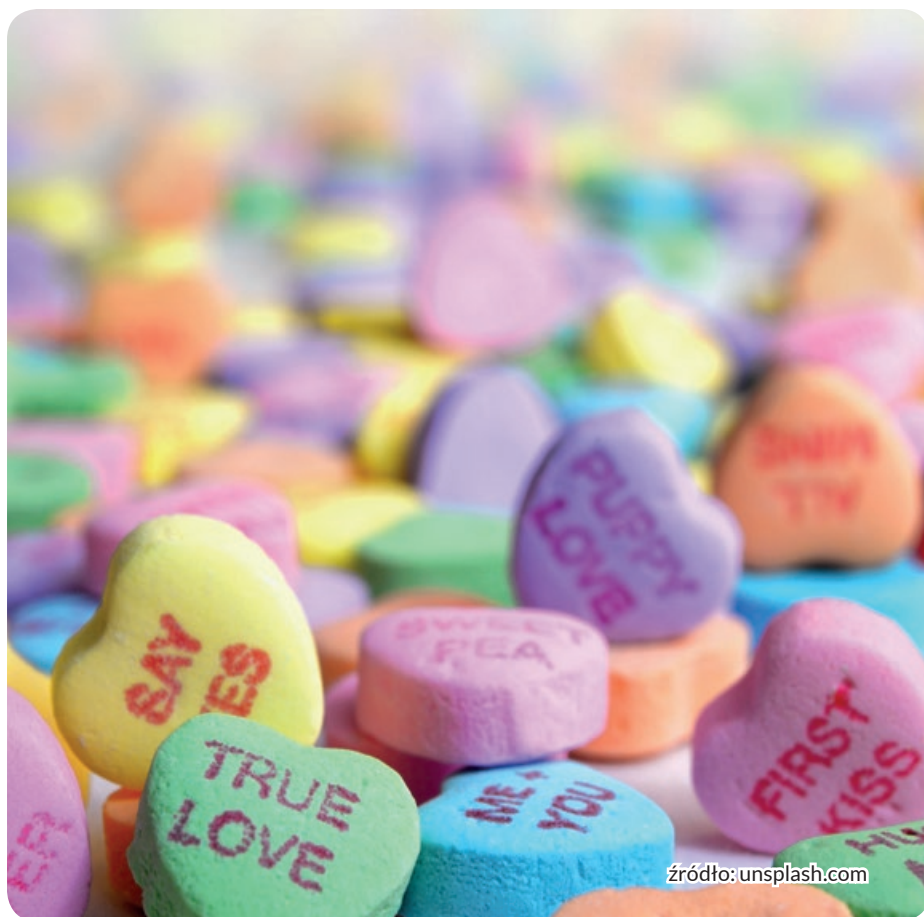
Proszę zwrócić uwagę, że w Europie Zachodniej, a coraz mocniej również w Polsce króluje nastawienie na „ja i moje”. „Ja mam prawa – mi się należy, jak chcę, to macie mi dać”. Prawa natomiast zawsze rodzą obowiązki, a o nich już nikt nie mówi. Powszechna jest zatem postawa roszczeniowa. Margaret Thatcher powiedziała kiedyś, że „rząd nie ma swoich pieniędzy, ale pieniądze obywateli, które dystrybuuje”. Dobro wspólne nie jest czymś abstrakcyjnym, ale jest wszyst-

kim tym, co posiadamy i składamy do wspólnego koszyka. Jeśli jednak ktoś nie chce składać, to odcina się od dobra wspólnego. Siłą rzeczy ten model – konsumpcyjny, roszczeniowy, indywidualistyczny – jest bardzo destrukcyjny społecznie – na płaszczyźnie indywidualnej, rodzinnej, jak i społecznej w skali makro. Nie myślimy w kategoriach dobra wspólnego, nie szanujemy ojczyzny, tego, co jest wspólne, ale zajmujemy się tym, co „moje”.

P.U.: Gdy ktoś w takim razie, mając takie konsumpcyjne nastawienie, zechce zawrzeć związek małżeński – czy będzie w stanie ważnie przystąpić do tego sakramentu?

P.K.: Bardzo często się okazuje, że on nie jest ważnie zawarty – była ceremonia, biała suknia, organy, prezenty, goście, wesele, a małżeństwa nie ma. Dzieje się tak dlatego, że serce człowieka ogarniętego żądzą posiadania jest niezdolne do miłości, do podjęcia najbardziej elementarnego wymogu życia małżeńskiego, czyli daru z siebie. Młodzi (czasem już nie tak bardzo młodzi) przysięgają przed ołtarzem „ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską”, ale tak naprawdę nie mają pojęcia o tym, co to znaczy „miłość”. Prowadzę czasem zajęcia z narzeczonymi i mówię na to „kurs przeciwmałżeński”. Tłumaczę im, czym jest miłość, licząc na to, że obudzą się i zastanowią, czy chcą wejść w układ, w którym dadzą siebie, na przepadłe, do końca, drugiej osobie. Nie spotkałem się z przypadkiem, żeby ktoś się wycofał, jednak zdarzało się, że przepracował swoje narzeczeństwo i wszedł w zaślubiny świadomie. Mogę powiedzieć za Benedyktem XVI, że za łatwo dopuszczamy młodych do ołtarza – oni są na to niegotowi. W Polsce i tak przygotowanie do ślubu jest rozbudowane, jednak nie jest dla nikogo tajemnicą, że wiele osób spośród uczestników kursu przedmałżeńskiego bierze w nim udział, by stanąć przed ołtarzem, a nie po to, aby przygo-

tować się do małżeństwa. Chcą mieć przepustkę, a nie gotowość serca, która oznacza wejście w nawrócenie. Znacznie częściej mamy do czynienia z kościelną legalizacją życia tak, jakby Boga nie było, niż z wejściem w nawrócenie. Trzeba jednak się, więc sieje. Trzeba opowiadać, czym jest miłość, licząc na to, że ludzie młodzi obudzą swoje sumienia i zachwycą się prawdziwą miłością. Lepiej jest kochać, niż być zakochanym; być razem, niż obok siebie; dawać i przyjmować, niż brać i rzucać ochłapy. Trudno jest o optymizm, ale jest nadzieja, a póki ona jest, pracuję.



źródło: unsplash.com

P.U.: Przechodząc na płaszczyznę życiową, pragmatyczną – jakie jest miejsce pieniędzy w małżeństwie? Czy intercyza jest przejawem komercjalizacji podejścia do małżeństwa?

P.K.: Intercyza i kwestia pieniędzy w małżeństwie są trudnymi zagadnieniami. W skomercjalizowanym świecie pieniądze zdają się dyktować wiele warunków, jednak dając różne fantastyczne możliwości, rodzą jednocześnie mnóstwo obaw. Jedną z nich jest nie tylko to, że człowiek straci to, co po-



źródło: unsplash.com

siada – ale także, że inni na tym ucierpią. Niekiedy pojawia się pomysł na intercyzę nie na zasadzie „chcę mieć swoje pieniądze, a ty miej swoje”, bo takie podejście w moim przekonaniu jest sygnałem, że małżeństwo będzie nieważne, ponieważ takie nastawienie kładzie nacisk na „ja i moje”, a nie „my i nasze”, a to jest kluczowe w miłości i małżeństwie. Chociaż podejście, w którym człowiek pragnie ochronić rodzinę przed ewentualnym bankructwem swojej firmy, jest argumentem, który wydaje się bardzo mocny, jednak myślę, że w ostatecznym rozrachunku jest kłamstwem. Postrzegam małżeństwo jako jedność, w której mąż i żona mają wziąć odpowiedzialność za swoją rodzinę – i mają zrobić to wspólnie. Wolę, jeżeli małżonkowie nie podpisują intercyzy, choćby nawet dla zabezpieczenia reszty rodziny, ponieważ zachowują się wówczas znacznie bardziej odpowiedzialnie, nie wchodząc w interesy, które mogą łatwo przerodzić

się w bankructwo. Taka decyzja pociąga za sobą jeszcze jeden skutek – małżonkowie są we wspólnocie zarówno w powodzeniu, jak i niepowodzeniu. Nawet jeśli przy całej trosce i odpowiedzialności coś się nie powiedzie, to oni się godzą na to, że będą w tym razem. Wielu się z tym nie zgodzi, ale jestem zwolennikiem pełnej wspólnoty w małżeństwie. Małżonkowie razem noszą ciężary i odnoszą sukcesy. Jeśli nawet jedno z małżonków pracuje zarobkowo, a drugie prowadzi dom, to razem w tym pracują

i wspólnie prowadzą gospodarstwo, wspierając się wzajemnie, wspólnie zbierając profity i nosząc ciężary. Są sytuacje, w których, w moim przekonaniu, intercyza jest silnym argumentem przeciwko ważności małżeństwa. Uważam, że nawet podpisana w najlepszych intencjach tworzy pewną szczelinę w małżeństwie, która nie będzie pomagała w zjednoczeniu małżonków, ale będzie dla nich szkodliwa.

P.U.: Jeśli możemy podejrzewać, że takie małżeństwa nie zostały ważne zawarte, jak powinien reagować Kościół hierarchiczny?



źródło: unsplash.com

P.K.: Wydaje mi się, że pytanie nie jest dobrze postawione, bo sugeruje brak reakcji. Kościół hierarchiczny, moim zdaniem, reaguje prawidłowo. Widząc problem, stara się wzmocnić kwestię formacji ludzi ku małżeństwu i opieki nad istniejącymi małżeństwami. Drugim błędnym założeniem zawartym w pytaniu jest ograniczenie reakcji do hierarchii kościelnej. Duchowni nie stanowią całości wspólnoty. Kościół w zdecydowanej większości stanowią świeccy, w ogromnej części – małżonkowie. Każdy zatem powinien podjąć rachunek sumienia: duchowni – czy dobrze przygotowują narzeczo-nych do małżeństwa i opiekują się małżeństwami w należyty sposób, świeccy natomiast – w jaki sposób żyją w małżeństwie i jakie świadectwo dają ludziom. Właściwą reakcją Kościoła jest nawrócenie. Duchowni będą wtedy lepiej prowadzić duszpasterstwo małżeństw, a małżonkowie zaczną bardziej dbać o swoje relacje, nawet jeśli podejrzewają, że weszli w małżeństwo w katastrofalny sposób. Zawsze można dążyć do tego,

żeby poprzez nawrócenie taki związek uzdrowić i go „uważnić” – to jest tajemnica działania Bożej łaski – niejedno małżeństwo ocalało w taki sposób.

P.U.: Wychodząc niejako „poza” sferę Kościoła, do ludzi, którzy żyją ze sobą bez ślubu sakramentalnego – w perspektywie coraz większej powszechności takich związków funkcjonujących na zasadzie konkubinatu lub ślubu cywilnego – czy w takim świecie jest przyszłość dla małżeństwa sakramentalnego?

P.K.: Warto przypomnieć, że na początku małżeństwa sakramentalne stanowiły znaczną mniejszość. Trzeba było głosić i dawać świadectwo. Były to czasy, gdy chrześcijan dotykały liczne prześladowania. Dzisiaj też są na świecie takie miejsca, gdzie za wiarę katolicką traci się życie. Kościół zawsze powtarzał, że „krew męczenników jest nasieniem chrześcijan”. W dzisiejszym świecie, który zapomina o Bogu i żyje, jakby Go nie było, ci, którzy Go poznali, powinni być Mu coraz bardziej wierni i dawać świadectwo swoim bliźnim, nawet gdy to kosztuje. Święty Paweł mówi, aby nie wprzęgać się w jedno jarzmo z niewierzącymi, więc chrześcijanie powinni zawierać małżeństwa między sobą. W sytuacji powszechnego odchodzenia od Kościoła myślę, że należy przykładać większą wagę do tego, aby od samego początku budować małżeństwa na Chrystusie jako wspólnym dla obojga małżonków fundamentem. Jest pewnym złudzeniem, że zakochawszy się w kimś, kto nie jest chrześcijaninem, przyciągnie się go do Pana Boga po ślubie. Do Chrystusa trzeba przyciągnąć takiego kandydata przed ślubem, trzeba pokazać mu Chrystusa tak, aby się Nim zachwycił i wtedy wstąpić z nim w związek małżeński. Wejście w związek z osobą niewierzącą daje tym samym sygnał, że ta relacja jest ważniejsza od Boga. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest to uogólnienie i wielu ludzi się ze mną nie zgodzi, jednak w moim odczuciu tak to wygląda. Nie stawiamy wymagań w tym względzie, choć prawo kanoniczne tego wymaga. Doświadczenie pokazuje, że w tzw. małżeństwach mieszanych jest więcej odejść od Chrystusa przez osobę wierzącą niż konwersji przez niewierzącą. Żyjemy w trudnych czasach i myślę, że kwestia nastawienia konsumpcyjnego jest tylko jednym z elementów składowych. W istocie problem jest poważniejszy i dotyczy ogromnego kryzysu wiary, nadziei i miłości, ponieważ zgubiliśmy gdzieś Pana Boga. Powstała pustkę usiłujemy wypełnić czymś innym. Myślenie konsumpcyjne pojmowałbym zatem raczej jako efekt tego procesu, a nie jego przyczynę. U podstaw leżą jednak rany, które sobie zadaliśmy: katastrofy wojen, nienawiści, podziałów, odejścia od Boga. Bez nawrócenia nie ocalimy ani siebie, ani naszej ojczyzny, ani Europy, ani świata. Może jednak tak ma być i jest to rzeczywiście nasza ostatnia bitwa.

Ks. dr hab. Piotr Kieniewicz MIC – marianin, teolog moralista, bioetyk. Absolwent KUL i pracownik tamtejszej uczelni w latach 1998–2014. Członek Zespołu Ekspertów KEP ds. Bioetycznych oraz Rady Naukowej Ordo Iuris. Autor książek i artykułów naukowych oraz popularnonaukowych z zakresu bioetyki i teologii małżeństwa.

WYWIAD AUTORYZOWANY



Gdy człowiek staje się surowcem...



Szymon Kozieja

Powojenna myśl filozoficzna stanęła w obliczu śmierci milionów ludzi – zarówno na frontach, jak i w wyniku działań o charakterze ludobójczym. Wiele szkół starało się zrozumieć, co się właściwie wtedy stało, gdzie popełniony został błąd, gdzie jest źródło zła.

Zatrzymajmy się na chwilę – wyobraźmy sobie milion ludzi... Jak dla mnie jest to rzecz nieosiągalna. Prawdopodobnie już w roku 1947 w usta Józefa Stalina wsadzono cytát, który brzmi mniej więcej tak: „Śmierć jednego człowieka to tragedia. Śmierć milionów ludzi to statystyka”. Trafił on nie tylko do literatury, ale i popkultury. Niektórzy mogą pamiętać go z ekranu, który ukazywał się po śmierci gracza w grze komputerowej *Call of Duty 2*.

Możliwe, że siła tego hasła leży w tym, jak bardzo trafnie opisuje nasze spotkanie z wieściami ze świata. **Zwykły człowiek nie ma wystarczających sił, aby przeżywać cierpienie każdej jednostki na całym świecie.** A jednak wciąż odczuwamy niepokój. Czy nie rodzi się w nas pytanie: dlaczego tak się dzieje?

Co jest źródłem wojny?

Thomas Merton, amerykański pisarz, poeta, katolicki konwertyta i trapiści, w swoim życiu doświadczył wiele cierpienia. Został wcześniej osierocony, a jego młodszy brat zginął jako lotnik podczas drugiej wojny światowej. Zrozumiałe jest więc to, że w jego duchowych rozważaniach pojawiło się pytanie o wojnę. **Jego źródła Merton dopatrywał się w strachu.** Nie jest to – wbrew pozorom – lęk tylko przed bliźnim czy jakaś forma braku zaufania. Jest to strach ogólny, wobec wszystkiego – nawet siebie samego. Pochodzić miał on z braku wiary w Boga.

Merton pisał nieszablono-wo o oczekiwaniach ludzkości wobec pokoju: „Gdyby ludzie naprawdę pragnęli pokoju, prosiliby oni Boga, a on dałby im go. Lecz dlaczego miałby udzielać pokoju, którego w rzeczywistości świat nie chce? **Albowiem pokój, którego świat zdaje się pragnąć, w rzeczywistości nie jest wcale pokojem.**

Dla niektórych pokój oznacza jedynie swobodę wyzyskiwania innych ludzi bez obawy zemsty czy czyjegokolwiek mieszania się. Dla innych oznacza on nieograniczone i bezustanne ograbianie się na wzajem. Dla jeszcze innych – wolny czas na pochłanianie dóbr ziemskich, bez konieczności przerywania sobie tej przyjemności dla nakarmienia tych, którzy wskutek ich chciwości umierają z głodu. A praktycznie dla wszystkich pokój oznacza brak fizycznych zakłóceń, które mogłyby rzucić jakiegokolwiek cień na ich życie, poświęcone zaspokajaniu zwierzęcych apetytów na wygodę i przyjemność” (Merton T., *Posiew kontemplacji*, tłum. M. Morstin-Górska, 1982, s. 75-76).

Co możemy w takim razie zrobić, aby powstrzymać konflikty? Merton zwrócił się do swoich czytelników otwarcie: „Czy chcesz położyć kres wojnom, nakłaniając ludzi do zaufania tym, którym w sposób oczywisty zaufać nie sposób? Nie. **Ucz ich kochać i ufać Bogu, a wówczas staną się zdolni do pokochania tych ludzi, którym nie mogą zaufać i odważą się pogodzić z nimi, ufając nie im, lecz Bogu**” (tamże, s. 75).



źródło:unsplash.com

Człowiek jako narzędzie mówiące ludzkim głosem

Myślę, że Merton nie wyjaśnia w sposób dostateczny tego, co się stało podczas ostatniego globalnego konfliktu, choć zarysowuje pewne ramy. Mówi przede wszystkim o motywacjach drzemających w człowieku. Warto jednak spojrzeć także na uzasadnienie wykorzystywania człowieka jako niewolnika, aby zrozumieć głębiej ten problem.

Już w starożytności mieliśmy do czynienia z koncepcją uznania części ludzi za narzędzie mówiące ludzkim głosem, wyprowadzoną za pomocą języka filozoficznego bądź też usankcjonowaną w sposób religijny. Platon, opisując idealne państwo, wskazywał, że niewolnictwo powinno być jego integralną częścią. Także dla Ksenofonta rzeczą zwyczajną było jego istnienie – zresztą sam był właścicielem niewolników. W *Polityce* Arystotelesa można przeczytać, że każdy człowiek posiada w sposób potencjalny rozum, ale nie każdy potrafi z niego korzystać tak, aby zapewniał mu on możliwość kierowania sobą samym.

Władza wolnego człowieka nad niewolnikiem miała być według Arystotelesa w gruncie rzeczy dobra. Także prawo rzymskie odbierało podmiotowość prawną osobie popadającej w niewolę. Przypisywało człowiekowi kategorię rzeczy (*instrumentum vocale* – narzędzie mówiące), nie odrzucało jednak jego człowieczeństwa jako takiego. Stawał się więc czymś, co pozwalało właścicielowi osiągać cele gospodarcze, i sam podlegał handlowi.

Według artykułu *Niewolnik – nasz nieodłączny towarzysz (cz. I)* historyka doktora Adama Pałuchowskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego, specjalisty w zakresie historii niewolnictwa, nie można zgodzić

się z uproszczoną historiozoficzną koncepcją Marksa, według której cały antyk był formacją niewolniczą. Miało to oznaczać, że podstawą ekonomii przez pełną epokę była praca pozbawionych wolności ludzi. Współczesna historia zwraca uwagę, że istniały wtedy pewne okresy, gdy tak się działo, lecz nie objęły całej starożytności. Samo zjawisko jednak było powszechne i trwa po dziś dzień.

Myśl stoicka i wczesnochrześcijańska dokonała pewnego wyłomu w tej kwestii. Wraz z osłabieniem się imperium rzymskiego, co niosło za sobą przemiany gospodarcze, oraz z rozwojem chrześcijań-



źródło: pixabay.com

stwa niewolnictwo ilościowo zaczęło zanikać. W średniowieczu wciąż istniało jako zjawisko, lecz samo traktowanie niewolników zwykle polepszało się pod wpływem Ewangelii. Filozof stoicki Seneka zwrócił uwagę, że człowiek może być niewolnikiem tylko co do ciała – nie co do ducha. Kościół w swoich początkach nie występował otwarcie przeciw niewolnictwu – zarówno św. Paweł Apostoł, jak i św. Augustyn nie potępiali tej instytucji. Jednakże podkreślali, że Bóg stworzył człowieka, aby panował nad stworzeniem nierozumnym, a nie nad innymi ludźmi. Św. Augustyn wskazywał na perspektywę wyzwolenia: „[...] do czasu, aż przeminie niesprawiedliwość, aż zniesione zostanie wszelkie panowanie i ludzka władza [...]” (św. Augustyn, *O państwie Bożym*, tłum. W. Kornatowski, 1977, II 421). Jak zwraca uwagę polska historiografia, także plemiona słowiańskie zamieszkujące tereny dzisiejszej Polski handlowały niewolnikami ze światem islamu. Podobnie państwo wczesnopiastowskie – według niektórych historyków Ibrahim Ibn Jakub był przede wszystkim ich handlarzem.

Człowiek pozbawiony umiejętności używania rozumu

Powrót do debaty nad niewolnictwem przyniosło odkrycie Ameryki przez mieszkańców Europy w XV wieku. W obliczu doniesień o losach Indian oraz protestów znanego ówczesnie wykładowcy z Salamanki Francisco de Vitorii **papież Paweł III** w bulli *Sublimis Deus* wyraźnie **podkreślił, że Indianie są ludźmi i nie wolno im odbierać dóbr oraz brać ich w niewolę**. Podczas dysputy w Valladolid Juan Ginés De Sepúlveda optował za niewolnictwem, wyprowadzając wcześniej opisaną argumentację



źródło: wikipedia.org

Arystotelesa. Po przeciwnej stronie stanął Bartolome de Las Casas, który był zagorzałym obrońcą Indian – także i on nie omieszkiał korzystać z dorobku klasycznej filozofii. W ostateczności przyznano rację temu drugiemu. Polscy antropologowie prof. Magdalena Krysińska-Kałużna i Witold Jacórzyski w artykule *Spór o Innego w XVI wieku: Indianie i konkwistadorzy* zwrócili uwagę, że „[...] stało się tak głównie za przyczyną myśli chrześcijańskiej, traktującej każdego człowieka jako »osobę«, a »my« – jako zbiór ogarniający cały świat, bowiem Zbawiciel zmarł za wszystkich. Termin »Osoba« został przez wielkie Sobory wybrany dla określenia relacji pomiędzy Ojcem, Synem i Duchem Świętym. Łacińskiemu słowu, zinterpretowanemu zgodnie z myślą grecką, nadano chrześcijańską zawartość. Stąd właśnie wywodzi się tak istotne dla europejskiej kultury pojęcie człowieka, »osoby ludzkiej«”.

Niezwykłą rzeczą w tym konflikcie jest to, że obie strony bazujące na podobnym dorobku filozoficznym tradycji arystotelesowej wyciągnęły zupełnie inne wnioski na temat tak fundamentalnej sprawy jak niewolnictwo.

W późniejszym okresie część filozofów liberalnych także odrzucała niewolnictwo. Byli to przede wszystkim **John Locke** i **Jean Jacques Rousseau**. Wolność jednak pojmowali w sposób zupełnie inny niż chrześcijańscy myśliciele. Według współczesnego filozofa kultury, prof. Piotra Jaroszyńskiego, przedstawiciela myśli neotomistycznej:

„Z punktu widzenia filozoficznego różnica między intelektualistycznym a liberalistycznym ujęciem n[iewolnictwa] sprowadza się do innego pojmowania wolności. Dla Arystotelesa i Tomasza z Akwinu wolność jest aktem decyzji, który suponuje istotny udział refleksji intelektualnej, i który jest **wolnością do czegoś**, natomiast dla Locke’a i Rousseau wolność jest stanem pierwotnym, który oznacza podstawowe uprawnienia jednostki, jako **wolność od**. Z punktu widzenia politycznego to drugie ujęcie skuteczniej przyczyniło się do uznania instytucji n[iewolnictwa] za formę całkowicie bezprawną i uwłaczającą ludzkiej godności. **Z punktu widzenia moralnego liberalistyczna koncepcja wolności, wskutek przeakcentowania wolności od, zamazała różnicę między wolnością a wewnętrznym zniewoleniem**, ponieważ odrzucona została kategoria zła moralnego i religijnego grzechu, które rozpoznawalne są dopiero na odpowiednim poziomie intelektualnym, a nie w stanie pierwotnej natury” (Jaroszyński P., *Niewolnictwo* [w:] *ptta.pl*; podkr. S.K.).

Niestety sprzeciwy filozofów nigdy nie zlikwidowały w pełni niewolnictwa, które po czasie pojawiło się w opakowaniu rasizmu, na pewien sposób wyprowadzanego z dziewiętnastowiecznych nauk.

Człowiek w masowym grobie

Lecz czy niewolnictwo było jedyną formą traktowania człowieka jako surowca? Wieki XIX i XX pokazały, że ludzkość potrafi być niezwykle „kreatywna”. W tym okresie wymyślono i zrealizowano koncepcję obozów koncentracyjnych, które swoją szczytową formę osiągnęły w III Rzeszy i Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

W państwach totalitarnych, podobnie jak u Niccolò Machiavellego, cel uświęcał środki. Celem była konkretna wizja społeczeństwa, a środkiem potrzebnym do realizacji



źródło: unsplash.com

byli ludzie. Staje się to jasne, kiedy spojrzymy na źródła marksizmu. **Pierwotnie komuniści byli formą chrześcijańskiej sekty, która za pomocą rewolucji miała doprowadzić do zmartwychwstania ludzkości i ustanowienia Nowego Jeruzalem na ziemi.** Dopiero pod wpływem Karola Marksa i Fryderyka Engelsa ruch ten przyjął teorię materialistyczną. Szerzej to zagadnienie opisuje publicysta historyczny Jakub Zgierski w artykule dostępnym w internecie pt. *Jak narodził się marksizm? Chrześcijański komunizm, Mesjasz i zbawienie na ziemi*, w skrócie jednak ujmując: komunizm chciał wprowadzić raj na ziemi za pomocą siły. W sposób praktyczny zostało to zrealizowane przez Lenina, który dopracował tę koncepcję, tworząc konkretny plan działania.

Ważnym elementem wojennej propagandy była dehumanizacja przeciwnika ideologicznego. W III Rzeszy na plakatach widać było postacie wrogów zniekształcone przez wyostrome rysy, które czyniły je obrzydliwymi i budzącymi pogardę. Znanym przykładem jest plakat, który miał kojarzyć Żydów jako nosicieli tyfusu plamistego.



źródło: wikipedia.org

Remedium?

Według mnie o wiele trafniej ujął ten problem współtwórca Lubelskiej Szkoły Filozoficznej i wieloletni rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, o. prof. Mieczysław Krąpiec, gdy mówił w kontekście wpływu totalitaryzmu na uczelnie, którego sam doświadczył: „[...] **Człowiek jest celem, a nie środkiem! I to jest największa alienacja, gdy środki zmienia się na cele, a cele na środki [...]**” (materiał video KUL Profesor Mieczysław Albert Krąpiec OP [w:] youtube.com, 0:14-0:26).

Współcześnie wciąż istnieje problem traktowania człowieka jako towaru. Z jednej strony dalej borykamy się z problemem niewolnictwa. Z drugiej – są jego inne przejawy... dalsze przemyślenia pozostawiam czytelnikom.



źródło:unsplash.com

Czy dzisiaj potrzebne są osoby zakonne?



Dawid Pindel

Zakony powoli wymierają. W Europie Zachodniej coraz bardziej widoczny jest spadek powołań. Czy identycznie będzie w niedalekiej przyszłości w Polsce? Bycie zakonnikiem czy zakonnicą nie wiąże się już z wyższym statusem społecznym i powszechnym szacunkiem, tak jak to było w przeszłości. Wygląda na to, że osoby konsekrowane zarówno w Kościele, jak i w społeczeństwie nie odgrywają już tak znaczącej roli. Wpłynęła na to między innymi tendencja, by to laikat zajmował się sprawami należącymi kiedyś do zadań osób duchownych. Stąd zrozumiałe, iż liczni spośród nas pytają: „Jaki sens ma dzisiaj życie zakonne?”

Pytanie o przyszłość życia zakonnego ma głęboki sens. Zastanawiał się nad nim również św. Jan Paweł II, a poprzez ustanowienie w 1997 roku Światowego Dnia Życia Konsekrowanego wciąż daje nam okazję do refleksji nad darem tego rodzaju powołania. W dniu 2 lutego Kościół obchodzi święto Ofiarowania Pańskiego, w którym wspominamy, jak Maryja ofiarowała największy dar, jakim jest Syn, Jezus Chrystus. W podobny sposób osoby konsekrowane ofiarują całe swoje życie oraz samych siebie z miłości do Boga i drugiego człowieka (por. *Dzień Życia Konsekrowanego* [w:] *brewiarz.pl*).

W swojej adhortacji *Vita Consecrata* św. Jan Paweł II pisał: „Ofiarowanie Jezusa staje się wymowną

ikoną całkowitego oddania własnego życia dla tych, którzy powołani są, aby odtworzyć w Kościele i w świecie, poprzez rady ewangeliczne «charakterystyczne przymioty Jezusa, dziewictwo, ubóstwo i posłuszeństwo» (pkt. 1).

Dar darmo dany

Z własnego doświadczenia wiemy, że nie wszyscy ludzie są powołani do takiego stylu życia. Bóg wciąż kieruje jednak wezwaniem do poszczególnych osób, a czyni to poprzez życiodajną siłę, jaką jest Duch Święty. Ta trzecia osoba Trójcy Świętej otwiera serca na przyjęcie i zrozumienie tej szczególnej drogi wiodącej do Królestwa. Podobnie jak w owej przypowieści Jezusa o skarbie i perle (Mt 13, 44-46), towarzyszy On w odkryciu daru darmo danego, którym jest powołanie do życia zakonnego.

Droga powołania nie biegnie w oderwaniu od powołania chrześcijańskiego. Nie jest „innym powołaniem”, ani „super-powołaniem”, ale powołaniem chrześcijańskim przeżywanym w sposób specyficznie szczególny w bliskości z Bogiem. Do tego stylu życia prowadzi tylko działanie Ducha Świętego (Brault A., Rath N., *Szczęście w życiu zakonnym*, 1995, s. 42).

Kim zatem są „te” osoby konsekrowane?

Żeby mówić o życiu konsekrowanym, trzeba na początku wiedzieć, co oznacza słowo „konsekracja”. Jedno z najprostszych wyjaśnień tego pojęcia znajduje się w *Leksykonie pojęć teologicznych i kościelnych*, według którego jest to „uroczysty akt, przez który człowieka lub rzecz w szczególny sposób przeznaczają się dla Boga” (Collins G., Farrugia E., 2002).



Natomiast sama definicja osoby konsekrowanej mówi, że jest „to osoba ochrzczona, która przez profesję rad ewangelicznych odpowiedziała na Boże wezwanie w tym znaczeniu, że nie tylko »umarła« dla grzechu (Rz 6,11), ale wyrzekłszy się świata żyje odtąd wyłącznie dla Boga, całe bowiem życie oddaje Jego służbie, szukając i miłując Boga, »który pierwszy umiłował« (J 4,10). Jej życie skupia się na naśladowaniu Chrystusa, czyli na przyjmowaniu wewnętrznej treści krzyża. Jan Paweł II wymienia następujące rodzaje osób konsekrowanych: mnisi i mniszki, zakonnicy i zakonnice, członkowie

źródło: yt.com

stowarzyszeń życia apostołskiego, dziewice i wdowy (wdowcy) konsekrowane, pustelnicy i członkowie instytutów świeckich (VC 7-12)". (*Leksykon duchowości katolickiej*, red. M. Chmielewski, P. Ogórek, 2002, s. 618).

Zakony

Wśród osób konsekrowanych chcę w szczególności zwrócić uwagę na zakonników i zakonnice. Oni to poprzez rady ewangeliczne, czyli śluby (lub przyrzeczenia) czystości, ubóstwa i posłuszeństwa wybierają jedną z dróg do szczęśliwego życia z Bogiem. Jak pisze w swoim artykule dominikanin, o. T. Radcliffe: „zakonnicy i zakonnice to

osoby w pewien sposób przypominające ludzi czekających na przystanku autobusowym. Znajdują się tam, ponieważ na sto procent są pewni, że autobus nadjedzie. Nie ma żadnej innej przyczyny: dzieci, kariery, realizacji siebie, awansu, pożytków. Właściwie z powodu braku sensu ich życie odstawia pełnię życia. Tak jak pusty grób głoszący Zmartwychwstanie Chrystusa" (*Niedźwiedź i mniszka, Znaczenie życia zakonnego dzisiaj*, „W drodze” 1999, nr 8 (312), s. 4-15).

Warto wspomnieć o jednym z przemówień papieża Franciszka wygłoszonym do zakonu augustianów (swoją drogą on sam jest jezuitą, a więc również zakonikiem). Porównał on życie zakonne w Kościele do tego, czym jest serce w organizmie człowieka. Jeśli występują problemy z sercem, to będą problemy z całym organizmem. Miernikiem bowiem życia Kościoła są zakony. Jeśli one przeżywają kryzys, to cały Kościół też się z nim zмага. Tak samo, jeśli odnawiają się i reformują zakony, Kościół również zaczyna się reformować i odnawiać (por. przemówienie papieża Franciszka z dnia 29.08.2013). Są to podobne słowa do tych, które wcześniej napisała św. Teresa od Dzieciątka Jezus: „W sercu Kościoła mojej Matki będę Miłością” (św. Teresa z Lisieux, *Dzieje duszy*, 2005). W sercu Kościoła są zakony, które są powołane do miłości.



źródło:unsplash.com

Historia życia zakonnego

Samo pojawienie się idei życia zakonnego nastąpiło dosyć wcześnie. Zarysowywała się ona powoli i stopniowo. Jako jeden z pierwszych o życiu zakonnym mówił sam Jezus głosząc, że „są bezzenni, którzy ze względu na królestwo niebieskie sami zostali bezzenni” (Mt 19,12). Uściślił przy tym, że nie

ma nakazu podobnego postępowania, lecz istnieje wolność wyboru. W późniejszych czasach wczesnego chrześcijaństwa, po tzw. edyktie mediolańskim, wraz z rozwojem chrześcijaństwa zostały spisane pierwsze reguły wspólnot. Wśród nich były te założone przez św. Pachomiusza, św. Bazylego, później św. Benedykta, a następnie św. Augustyna, św. Franciszka, itd. (Brault A., Rath N., dz.cyt., s. 23).

Wraz z rozwojem życia konsekrowanego powstawały nowe formy życia zakonnego odnawiające na nowo Mistyczne Ciało Chrystusa. Mieszkańcy klasztorów stali się budowniczymi Europy Zachodniej. Nie tylko przekazywali wiarę, ale unowocześniali również metody pracy agrarnej, nauczali czytania i pisania, rozwijali nowe style budowlane, a także szukali odpowiedzi na pytania współczesnego świata. W dziejach życia zakonnego czas rozkwitu przeplatał się z różnego rodzaju kryzysami. Obecnie jednak wiele mówi się o kryzysie powołań do życia konsekrowanego, zamykaniu kolejnych domów zakonnych, starzejących się zakonnicach i zakonnikach.

Jak to wygląda u nas, na naszym podwórku? Według rocznika statystycznego Kościoła katolickiego w Polsce za lata 1991-2011 coraz bardziej uwidacznia się lekki spadek wśród liczby osób pozostających w zakonach. Według danych Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich pięćdziesiąt dziewięć męskich instytutów życia konsekrowanego w 2011 r. skupiało 12 480 mężczyzn. Nastąpił jednak spadek w porównaniu z rokiem 2005, gdy znajdowało się w nich 13 197 osób. Natomiast wśród zakonów żeńskich Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego podaje, że w 2012 r. było 21 214 siostr zakonnych, co zdaniem autorów oznacza wyraźny i systematyczny spadek w porównaniu z rokiem 1991, w którym ich liczba wynosiła 24 973 (*Dynamika powołań w Polsce (statystyki)* [w:] *deon.pl*).

Kryzys

Nasuwa się teraz pytanie – dlaczego tak mało młodych decyduje się na takie życie? Na pewno jest wiele powodów. Dzisiaj bowiem coraz więcej osób poświęca swoje życie na realizację własnych planów i ambicji, nie myśląc o Bogu czy pomocy potrzebującym. Wzrasta antyklerykalizm, a spada zaufanie do Kościoła. Mniej osób wśród dzieci i młodzieży uczęszcza również na katechezę. Niektórzy też zauważają, że sami zakonnicy przestają być zrozumiali dla współczesnego świata. Zeświecczona mentalność i porzucenie tradycyjnych praktyk zakonnych jeszcze bardziej potęgują ten kryzys.



źródło: pixabay.com

W roku 2008 kard. Franc Rodé, prefekt Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego mówił, że „w ciągu ostatnich 40 lat Kościół przeżywa jeden z największych kryzysów w całych swoich dziejach. Dramatyczna sytuacja w życiu zakonnym nie jest marginalna dla tego stanu rzeczy. [...] W wielu krajach Zachodu życie zakonne utraciło nadzieję” (*Zakony do remontu* [w:] *opoka.org.pl*). Nie chcę uogólniać, ponieważ oczywiście przyczyny bywają różne. Jaką jednak drogę wybrać, aby wyjść z obecnego kryzysu? Co trzeba zrobić, aby dążyć ku zdrowemu rozumieniu życia zakonnego?

Odnowa życia

Przede wszystkim w dobie sekularyzacji zakony powinny stawiać sobie za cel przywrócenie prawdziwego oblicza Boga zniekształconego przez ten świat. Zasadą nadrzędną musi być naśladowanie Jezusa Chrystusa posłusznego, ubogiego i czystego. Przed zadaniem wprowadzenia życia zakonnego w trzecie tysiąclecie stanął sam Sobór Watykański II. Idąc za św. Janem XXIII (*aggiornamento* – zwrócenie się ku współczesności), opowiedział się za ideą odnowy życia zakonnego, która przebiegać ma w napięciu pomiędzy tym, co utarte i dostosowaniem się do nowoczesnego rozwoju (Metzger F., *Historia życia zakonnego*, 2009, s. 227).

Życie zakonnic i zakonników, którzy wracają do początków swojego powołania i żyją rado-

ścią zgodnie z charyzmatem własnego zgromadzenia, przynosi obfite owoce. Emanuje z nich wielka radość i pokój, który promieniuje na innych członków wspólnoty. Obecnie potrzeba zatem każdego dnia wracać do korzeni i z pełnym zaufaniem iść pod prąd rzeki do źródeł wody żywej.

Osoby, które wstępują do zgromadzenia, składają śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Mają one głęboki sens, gdy po czasie pierwszej formacji postulat, nowicjatu, następuje całkowite zaangażowanie bez oglądania się wstecz. Staje się to przez profesję, konsekrację wieczystą, która stanowi odpowiedź na zaufanie człowieka do Boga, na dar, który On czyni ze swej Miłości. W życiu zakonnym bardzo liczy się pasja oraz chęć oddania Bogu bez reszty całego swojego życia.



Portret karmelitańskiego mnicha,
głowa i ramiona, aut. Anthony Van
Dyck

źródło: wikimedia.org

Rady ewangeliczne

Przyjrzyjmy się więc pokrótce tym trzem radom ewangelicznym. Na czym one polegają? Dlaczego w każdym czasie są tacy ludzie, którzy na wzór ewangelicznej Marii pragną „obrać lepszą część” – podejmują życie w czystości, ubóstwie i posłuszeństwie?

Posłuszeństwo

Termin ten pochodzi od hebrajskich i greckich określeń postawy słuchania. Pierwsze przykazanie brzmiało: „Słuchaj, Izraelu, Pan jest Bogiem twym, Bogiem twym jedynym” (Pwt 6,4). Określało ono relację synowskiego posłuszeństwa wobec autorytetu Boga. Zakonne posłuszeństwo zrodziło się wśród ojców pustyni. Wywodzi się z całkowitej uległości ucznia wobec jego ojca duchowego. Zakonny ślub posłuszeństwa wprowadził św. Benedykt. Odtąd tzw. rada ewangeliczna jest przedmiotem ślubów zakonnych we wszystkich instytutach i zgromadzeniach. Stanowi więc istotną cechę życia konsekrowanego.

Istotą posłuszeństwa jest poszukiwanie i wypełnianie woli Bożej. Specyfika posłuszeństwa, rozumianego jako rada ewangeliczna, polega na widzeniu pośrednictwa przełożonego, przez którego działa Bóg. Współcześnie zwraca się uwagę na to, by nie traktować posłuszeństwa w kategoriach automatyzmu, a w przełożonym widzieć drugiego Chrystusa. Choć po ludzku wydaje się czasami bardzo trudne po ludzku, to dzięki łasce Bożej wszystko jest wykonalne. Fundamentem relacji posłuszeństwa zakonnego jest wspólne rozeznawanie woli Bożej – tego, czego Bóg chce dla mnie i dla Kościoła (D. Szczerba, *Praktyczny leksykon modlitwy*, 2008, s. 237-239).



źródło: yt.com



źródło:unsplash.com

Ubóstwo

Ubóstwo jest w teologii duchowości nie tylko formą ascezy, ale także wartością pozytywną. Istotą ślubów ubóstwa jest przyjęcie daru Bożego, bowiem ubóstwo wyraża „całkowity dar z siebie, jaki składają sobie nawzajem trzy Osoby Boskie” (VC 21). Święci prześcigali się w ubóstwie, chcąc w ten sposób naśladować Chrystusa i utożsamić się z Nim. Oddżywało ono we wszystkich okresach odnowy Kościoła. Święty Franciszek z Asyżu traktował je jako bezcenną wartość, nazywał poślubioną przez siebie Panią Biedą. Prosił braci, aby się całkowicie oddali ubóstwu, aby było ono częścią, która ich poprowadzi (por. *Druga reguła św Franciszka*, rozdz. 6, za: franciszkanie.org). Błogosławiony Karol de Foucauld mówił o „ostatnim miejscu”, które Chrystus zajął między ludźmi i o tym, że nikt mu już go nie zdoła odebrać. Twierdził, że nie chce jechać przez życie pierwszą klasą, skoro Zbawiciel jeździł ostatnią. Foucauld poszukiwał formy życia blisko biednych, wśród nich, otwartej dla nich. Chciał uniknąć niebezpieczeństwa chrześcijańskich zgromadzeń – każdy z ich członków osobno jest ubogi, ale wspólnota jako całość się bogaci. Święta Teresa z Kalkuty poszła jeszcze dalej, wprowadzając w swoim zakonie czwarty ślub – miłości najbiedniejszych (D. Szczerba, dz. cyt., s. 279-280).

Czystość

Czystość została w chrześcijaństwie utożsamiona z celibatem i stała się tak zwaną radą ewangeliczną, wyrazem całkowitego oddania się Bogu i budowaniu królestwa niebieskiego.

Śluby zakonne, jak pisze Jan Paweł II są „szczególnym pogłębieniem konsekracji chrzcielnej” (VC 30). Czystość otrzymana na chrzcie jest cnotą wlaną, która wprowadza do uczuciowości światło łaski.

Czystość jest cnotą, czyli pewną siłą, czyni ona duszę mężną, niejako uduchawiając, uspokajając ciało. Czystość usposabia do kontemplacji, stanowi też podstawę duchowego macierzyństwa i ojcostwa (D. Szczerba, dz. cyt., s. 36-37).

Życie konsekrowane dzisiaj

W dzisiejszym świecie, gdzie mocno kontestuje się wymiar ślubów, przyrzeczeń zakonnych, jeszcze bardziej potrzebna jest formacja i nie tylko ta początkowa, ale permanentna. Chodzi w tym miejscu o ciągłą formację, to znaczy o stałe nawracanie się. W przeciwnym razie bez ciągłej metanoi zachodzi u zakonnika lub zakonnicy ryzyko letargu, co w konsekwencji może przynieść chęć opuszczenia zgromadzenia.

Jednak mam ufność w Bogu że tam, gdzie jest życie autentyczne życie konsekrowane, prawdziwe, pozbawione fałszu, formalizmu i klerykalizmu, tam we wspólnocie zakonnej uwidacznia się żywy Chrystus. Oczywiście, życie konsekrowane bywa trudne. Z drugiej strony życie nie będzie łatwe, jeśli ma być prawdziwe. Przeżywanie powołania w radości pociąga i faktycznie widać, że tam, gdzie formują się wspólnoty, zbiera się obfite owoce pięknych powołań do życia konsekrowanego.

Modlitwa

Warto modlić się za osoby konsekrowane, których czasami zwyczajnie nie zauważamy, a przecież pracują między nami – w szkołach, parafiach, szpitalach, hospicjach, itd. Może sami znamy osoby duchowne, które mniej lub bardziej przyczyniły się w pewnym momencie życia do naszej świętości. Dlatego w tym miesiącu, w szczególności 2 lutego, polecamy osoby życia konsekrowanego wstawiennictwu Maryi, aby wspomagała ich w dążeniu do wiecznej i jedynej szczęśliwości.

„Zawieramy je Tobie, Dziewico Nawiedzenia, aby umiały wychodzić naprzeciw ludziom w potrzebie i nieść im pomoc, a nade wszystko nieść im Jezusa. Naucz je głosić wielkie dzieła, jakich Bóg dokonuje w świecie, aby wszystkie ludy wielbiły Twoje imię. Wspomagaj je w pracy dla dobra ubogich, głodnych, pozbawionych nadziei, ostatnich i tych wszystkich, którzy szczerym sercem szukają Twojego Syna.

Do Ciebie, Maryjo, która pragniesz duchowej i apostołskiej odnowy Twoich synów i córek przez miłość do Chrystusa i przez całkowite oddanie się Jemu, kierujemy z ufnością naszą modlitwę. [...] Aby ci, którzy otrzymali dar naśladowania Go przez swą konsekrację, umieli o Nim świadczyć swoim przemienionym życiem, podążając radośnie, wraz ze wszystkimi innymi braćmi i siostrami, ku niebieskiej ojczyźnie i ku światłu, które nie zna zmierzchu.

O to Cię prosimy, aby we wszystkich i we wszystkim został otoczony chwałą, błogosławieństwem i miłością Najwyższy Władca wszystkich rzeczy, którym jest Ojciec, Syn i Duch Święty” (VC 112).



źródło: pexels.com

Po Namyśle: Warto poczekać z tym seksem



Krzysztof J. Namyślak

Na pewno macie takiego kolegę lub koleżankę, którzy krzywo patrzą się na znajomych mówiących, że nie czekają z seksem do ślubu. Jeśli jesteście wierzącymi katolikami, to sami jesteście takimi kolegami. Coraz częściej jednak niezachowywanie czystości przedmałżeńskiej jest normalizowane, „bo przecież trzeba się poznać i dopasować”. I jeżeli wyskoczycie, że „to grzech przeciwko szóstemu przykazaniu”, „Bóg tego zakazuje” lub „Kościół to potępia”, bądźcie gotowi na to, że nawet niektórzy katolicy – a w każdym razie ludzie jakimś cudem uważający się za katolików – zbęda Was i wyśmieją, mówiąc, że jesteście zacofani. Czy jednak da się „usunąć” Boga i Kościół z tego równania i wskazać na pozareligijne argumenty na czekanie z seksem do ślubu?

Im bardziej człowiek zagłębia się w prawo zapisane w Pięcioksięgu i im bardziej porównuje to z wiedzą obecnie dostępną, tym bardziej odnosi wrażenie, że to musiała być Boża interwencja w działanie świata. Dwa bardzo wyraziste przykłady to obrzezanie mężczyzn i zakaz spożywania wieprzowiny. Ze względu na niedobór wody i stosunkowo niski poziom higieny, obrzezanie stanowczo ułatwiało utrzymanie czystości. Świnie natomiast są zwierzętami wszystkożernymi. Jest bardzo wiele pasożytów, które w nich bytują, a które mogą przenosić się na człowieka. W dzisiejszych czasach mięso jest

badane przed dopuszczeniem do sprzedaży i spożycia, ale kiedyś bezpieczniej było założyć, że wszystkie świnie są „nieczyste”. Podobnie jest i z wieloma innymi Bożymi nakazami.

Dojrzałość

Jest wystarczająco wiele argumentów pozareligijnych przeciwko uprawianiu seksu przedmałżeńskiego.

Seks służy budowaniu i umacnianiu miłości między małżonkami. Małżeństwo – czy kościelne, czy też cywilnoprawna imitacja tegoż – polega na tym, że bierze się odpowiedzialność za drugą osobę. Że przed całym światem dwoje ludzi przyznaje się do siebie, przyznaje, że są mężem i żoną. Jeżeli nie dorosło się do tej odpowiedzialności, nie ma co brać się za „przedłużanie gatunku”. Bo jeśli mężczyzna nie ma na tyle dojrzałości, żeby związać się z jedną kobietą, to można mieć uzasadnioną wątpliwość, że nie starczy mu jej na nią i dziecko (lub dzieci).

Ktoś jednak zauważy, że ryzyko ciąży jest niewielkie, gdy stosuje się antykoncepcję. Może i tak. Ale co z tego, skoro nie daje to stuprocentowej pewności? Nikogo nie będzie interesowało, że zawaliło się życie komuś, kto okazał się tym błędem statystycznym. Te punkty procentowe, które dzielą skuteczność danej metody od stu procent, to prawdziwi ludzie.

Początki

Przyjrzyjmy się temu zatem od strony biologicznej. I społecznej, ale patrząc od początku formowania się związku.

Chłopak i dziewczyna zaczynają się sobie podobać. Poznali się na imprezie i zaiskrzyło. Wzorem znanym z popkultury mogliby zaraz po imprezie wyładować razem w łóżku, ale tego nie robią, bo wiedzą, czym to grozi. Zaczynają zatem się spotykać. Lepiej poznawać. Rozmawiają o swoich pasjach. Patrzą na siebie, jak patrzy człowiek na człowieka, przyjaciel na przyjaciela. Zaczynają się sobie coraz bardziej podobać. Ona ma uwiel-



źródło: unsplash.com

biane przez niego długie włosy, piękny uśmiech, jest opiekuńcza, ślicznie wygląda, gdy śmieje się z jego żartów. On jest wysoki, dobrze zbudowany, szarmancki, ma ciekawe zainteresowania. Jeśli fascynacja – a po niej zakochanie – jest zdrowa, dostrzega ją nie tylko zalety, ale też i wady drugiej osoby. Jemu zdarza się spóźniać, ona miewa drobne foszki. Wiedzą, że będą musieli nad sobą pracować. Po pewnym czasie zaczynają trzymać się za ręce. Później pojawiają się pocałunki. Najpierw w rękę, w czołko, w policzek – przyjemne przejawy czułości. Za jakiś czas idą krok dalej i już całują się w usta. Każdy z tych etapów powoduje, że wydzielają się między innymi endorfiny – „hormony szczęścia”



źródło: unsplash.com

– i oksytocyna, która odpowiada za przywiązanie. Pomaga to utrzymać związek, ale nie ma wystarczającej mocy, żeby do reszty odebrać rozum. Oprócz tego cały czas pracują nad swoimi wadami, żeby – jak to mówi Pieśń nad Pieśniami – „schwytać małe lisy, które pustoszą winnice” (Pnp 2,15), czyli wyeliminować skazy charakteru, póki są niewielkim problemem.

Te etapy poznawania się mogą mieć różny trwania. Niektórym wystarcza parę miesięcy, innym zajmuje to kilka lat. Wtedy następuje dobry moment na przeniesienie relacji na wyższy poziom poprzez zaręczyny. Jeśli decyzja podjęta została w wolności i dojrzałości, wtedy młodzi mogą oficjalnie zacząć ostatni etap przygotowań do małżeństwa. Dobrze jest nie przeciągnąć tego czasu, bo można tak się wprawić w unikaniu seksu, że po ślubie pojawi się problem z rozpoczęciem współżycia. Warto wykorzystać go na wspólną formację przedmałżeńską oraz – bardziej przyziemnie – na zorganizowanie różnych technicznych kwestii, takich jak kościół, sala czy orkiestra.

Co się jednak dzieje, kiedy para postanawia w krótkim czasie rozpocząć współżycie?

Uzależnienie

Trzeźwy osąd względem drugiej osoby ma się do pierwszego orgazmu. Dlaczego? Ano dlatego, że wtedy mózg jest zalewany dużymi ilościami endorfin i oksytocyny. Mózg zapamiętuje, co spowodowało ich wyzwolenie, wobec czego ośrodek nagrody zaczyna domagać się powtórki. Rozpoczyna się coś, co, nie przesadzając, można byłoby nazwać uzależnieniem. Oksytocyna wywiera zwłaszcza duży

wpływ na kobiety. Po porodzie wydzielana jest podczas karmienia piersią, co – oprócz produkcji mleka – powoduje wzmożenie „instynktu macierzyńskiego”, przywiązania do dziecka. Podczas orgazmu powoduje natomiast wzrost przywiązania do partnera. Przykładem tu jest choćby idealizowanie go pomimo wad, które ma, a które dostrzega się w codziennych relacjach. Musi minąć czas, żeby mózgowi „spowszedniały” otrzymywane dawki hormonów, żeby znowu zacząć trzeźwo myśleć. U mężczyzn natomiast, zwłaszcza niedojrzałych, może pojawić się wykorzystywanie przywiązania kobiety w celu zaciągnięcia do łóżka. I często bywa tak, że skoro chłopak osiągnął już to, do czego normalnie potrzebne by mu było małżeństwo, przestaje się starać. Odwleka zaręczyny, ślub albo – co gorsza – zaczyna oglądać się za innymi kobietami w poszukiwaniu nowych doznań. Dużo słyszy się o kobietach, które pomimo doświadczania przemocy ze strony konkubenta nie wzywają policji i nie odchodzą od oprawcy. Mają irracjonalne przekonanie, że „on je kocha”, „on się zmieni” lub – co gorsza – że „one go zmienią”. To są klasyczne, choć drastyczne, przykłady „uzależnienia” wynikającego z przywiązania na tle seksualnym.

Kiedy para weźmie ślub i zamieszka razem, na pewno będą zdarzać się konflikty. To jest czas, kiedy trzeba się dotrzeć. Mnóstwo rozwodów ma miejsce w pierwszych pięciu latach małżeństwa. Biorąc pod uwagę powszechność seksu przedmałżeńskiego, jest to ten okres, kiedy konflikty na tle wspólnego życia czy mieszkania narastają, a seks już nie daje takiej siły spajającej związek. Co innego, kiedy drugą osobę poznawało się bez

„zaślepiających orgazmów”. W przypadku ewidentnych wad którejś ze stron związek rozpadłby się samoistnie. Skoro młodzi dotrwali jednak do ślubu, teraz właśnie przyda im się ten zastrzyk endorfinowo-oksytocynowy, żeby przetrwać burze, które będą targać jeszcze niedoświadczoną i niedograną załogą tego rozpoczynającego się rejsu łupinką o nazwie „małżeństwo”.

Dlatego bynajmniej nie warto spieszyć się z rozpoczynaniem współżycia przed wcześniejszym poznaniem partnera „na chłodno”, bo można zaszkodzić przyszłości swojej, partnera, a dalej – dzieci.

Przywróćmy jednak Boga do równania (wszak jest to pismo o katolickim profilu) i otoczmy modlitwą wszystkich narzeczonych i tych, którzy są na wcześniejszych etapach związku, aby trwali w czystości, bo to jedyna droga do stworzenia świętych rodzin.





Dobry bieg katolika



Wojciech Gałek

Każdy sezon zimowy to dla fanów sportu nad Wisłą kolejna okazja do podziwiania jednych z najlepszych sportowców na świecie, czyli polskich skoczków narciarskich. Nic dziwnego. Obecna kadra to drużynowi i indywidualni medaliści igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata i mistrzostw świata w lotach, zdobywcy Pucharu Świata oraz triumfatorzy Turnieju Czterech Skoczni.

Gdy jednak któryś z naszych zawodników stanie przed kamerą telewizyjną bądź mikrofonem radiowym, nie usłyszymy od niego podobnych słów: to był skok idealny, lepiej nie da się skoczyć. Nawet po bardzo dobrych, perfekcyjnych wręcz skokach dających radość skoczkom i kibicom. Dlaczego?

Skoczkowie nie są tu oczywiście wyjątkiem. Podobne opinie można usłyszeć np. od naszych siatkarzy (notabene również mistrzów świata), którzy także po dobrym meczu przyznają, że wciąż są jakieś rezerwy. Że wciąż jest pole, na którym w danym momencie można się poprawić.

Krew, pot i łzy

Sport to jedna z tych dziedzin życia, które wymagają nieustannej pracy nad sobą. Pracy pełnej wyrzeczeń, samodyscypliny i poświęceń. Niezależnie od uprawianej dyscypliny, nie da się osiągnąć sukce-

sów samym talentem czy naturalnymi predyspozycjami. Na każdy wielki i mały sukces składa się wiele godzin żmudnej harówki, pomyłek i upadków. Dlatego przez analogię do sportu można pokazywać, jak powinno wyglądać nasze życie: życie chrześcijan.

Porównanie sportu do postępowania według nauki Kościoła nie jest bynajmniej pomysłem ani współczesnym, ani naciągany. Podobne zestawienia pojawiały się już dwa tysiące lat temu, w czasach pierwszych apostołów. Mowa tu przede wszystkim o świętym Pawle, który w liście do Tymoteusza, niedługo przed swoją męczeńską śmiercią, napisał: „w dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4, 7), choć dosłowne tłumaczenie słów Apostoła Narodów mówi raczej o „dobrym boju/walce”. Niemniej wciąż jest to nawiązanie do rywalizacji, co podkreśla wspomniany później „wieniec sprawiedliwości”, jakże bliski wiencom przyznawanym zwycięskim sportowcom lub triumfującym wodzom. A zatem: co ma wspólnego katolik ze sportowcem?

Człowiek ma to do siebie, że lubi szukać wymówek, a przyczyn wszystkich niedogodności upatruje w czynnikach zewnętrznych lub otoczeniu. To się nie udało, bo ktoś w czymś przeszkodził. Tamto zrobiłem, bo ktoś inny zaczął. I tak dalej, i tak dalej. Jednocześnie cały czas istnieje w nas potrzeba czynienia dobra i unikania zła.

Tymczasem Kościół wyraźnie naucza, że każdy człowiek, wyjąwszy Najświętszą Maryję Pannę, popełnia grzechy. Upada. Częściej lub rzadziej, z większym lub mniejszym hukiem. Po świecie nie chodzą same ideały. Ba! Nawet święci nie mieli nieskazitelnie czystych życiorysów. A jednak zostali świętymi. Dlaczego?

Katolik, podobnie jak sportowiec, powinien mieć świadomość tego, co robi dobrze, a co źle. Nawet jeśli przyjęcie krytyki miałooby być bolesne, nie należy od tego uciekać. Stąd wskazany jest regularny rachunek sumienia, a czasem dobry przewodnik duchowy, który jasno potrafi wskazać, w którym miejscu możemy się jeszcze podciągnąć. A podobnie jak w sporcie, zawsze są jakieś rezerwy.

To, że nie zabijam lub nie kradnę, nie oznacza, że jestem doskonały. Wręcz przeciwnie. Takie podejście może nie tyle usypiać czujność, co budować

fałszywe wyobrażenie na temat samego siebie. Może za mało czasu poświęcam na modlitwę? Pomagam potrzebującym tylko po to, żeby poczuć się lepiej lub zyskać poklask? W sporcie nieświadomość własnych niedociągnięć kończy się porażką w starciu z pierwszym lepszym od siebie przeciwnikiem. I zazwyczaj jest ona o tyle boleśniesz, im wyżej cenił siebie zawodnik.



źródło: unsplash.com

Obserwując swoje mankamenty, nie należy także pomijać tego, w czym jest się dobrym. Zdecydowane wskazywanie własnych wad nie może stać się objawem zakompleksienia ani zwykłym (samo) krytykanctwem. Nie powinno też prowadzić do tzw. skrupulanctwa, gdy uznamy za błędy rzeczy całkowicie neutralne. Stąd też konieczny jest w tym wszystkim zdrowy rozsądek.

Medal czy udział?

No, ale cały czas mowa o poświęceniu, bólu i innych takich mało przyjemnych rzeczach, tak jakby świat sportowca kręcił się tylko wokół tego. A przecież nie można powiedzieć, że owa praca nie sprawia im przyjemności. W innym wypadku raczej zmieniliby zajęcie.

Odpowiedź jest prosta: wszystkie te procesy to tylko metody osiągnięcia celu. Może i mało przyjemne, ale z pewnością konieczne. Gdyby sportowcy trenowali dla samych treningów, ich kariery skończyłyby się szybciej, niż się zaczęły. Sport to nie masochizm, a zawodnicy, jeśli wszystko układa się tak jak trzeba, czerpią ze swej pracy radość.

A czy inaczej jest z katolikami? Przecież wszystko, co robimy na ziemi, ma służyć jednemu, konkretnemu celowi: zbawieniu. Nic i nikt nie liczy się bardziej niż perspektywa wieczności. A skoro prowadzi do niego wyraźnie określona droga, to czemu mielibyśmy się smucić z powodu podążania nią? W końcu „ci, którzy sieją we łzach, w radości żąć będą” (Ps 126, 5). Nie smucimy się dla smutku, nie poświęcimy po to, by nie jeść mięsa i nie walczyć z nałogami dla samej walki. Robimy to, by na mecie czekał na nas ten wspomniany przez św. Pawła laur zwycięstwa. Nawet jeśli w Królestwie Niebieskim mamy zajmować ostatnie, najmniej chwalebne miejsce.

Św. Teresa od Dzieciątka Jezus opowiadała kiedyś, jak dziwiła się temu, że „Bóg nie udziela równej chwały w niebie wszystkim wybranym”. Wszak pomimo faktu, że przebywający tam są zbawieni, to jednak śmiało można doszukać się pewnego zróżnicowania. Zrozumienie przyszło dopiero w momencie, gdy święta porównała kilka naczyń napełnionych po brzegi wodą. Pomimo różnych rozmiarów każde z nich było pełne tak, że nie dało się do nich dolać ani kropli. Podobnie jest z duszami w niebie.

My, ludzie żyjący w świecie nastawionym na odnoszenie sukcesów, nie jesteśmy w stanie zrozumieć radości z rzeczy



mniejszych. Gdy oglądamy igrzyska olimpijskie, zastanawiamy się, dlaczego biegaczka z Półwyspu Arabskiego cieszy się z zajęcia ósmego, ostatniego miejsca w biegu.

Dla wielu sportowców sam start w tak elitarnej imprezie jak igrzyska jest wystarczającą nagrodą za lata treningów i poświęceń. Oczywiście im ambitniejszy zawodnik, tym wyżej zawiesza sobie poprzeczkę i tym większe cele sobie stawia. Ale w żaden sposób nie powinno to umniejszać sportowców, którzy nie odnoszą aż tak spektakularnych sukcesów. Oni też wiele poświęcają, by pokonywać własne słabości w drodze do upragnionego celu.

Czy zatem bieg w półfinale igrzysk olimpijskich jest mniej chwalebny niż zdobycie złotego medalu? Owszem. Czy zawodnik nie ma prawa cieszyć się pomimo braku awansu do elitarnej czołówki? Bynajmniej. On i tak wie, że zrobił wszystko, co się da. I że w tym miejscu leży granica jego możliwości.



źródło: unsplash.com

Droga na skróty

Są jednak sytuacje, w których mamy dosyć tych wszystkich wyrzeczeń, trudów i innych niezbyt przyjemnych, acz wymagających obowiązków. Albo pojawia się chęć pójścia na skróty, sięgnięcia po niekoniecznie dozwolone metody.

Najczęściej skutki są opłakane. Odpuszczanie regularnych treningów zazwyczaj prowadzi do określonego miejsca w stawce – tego ostatniego. Cóż, taka jest już kolej rzeczy. Kto nie chce pracować, niech też nie je.

Inaczej ma się rzecz w przypadku sięgania po niedozwolone środki, zwane potocznie dopingiem.



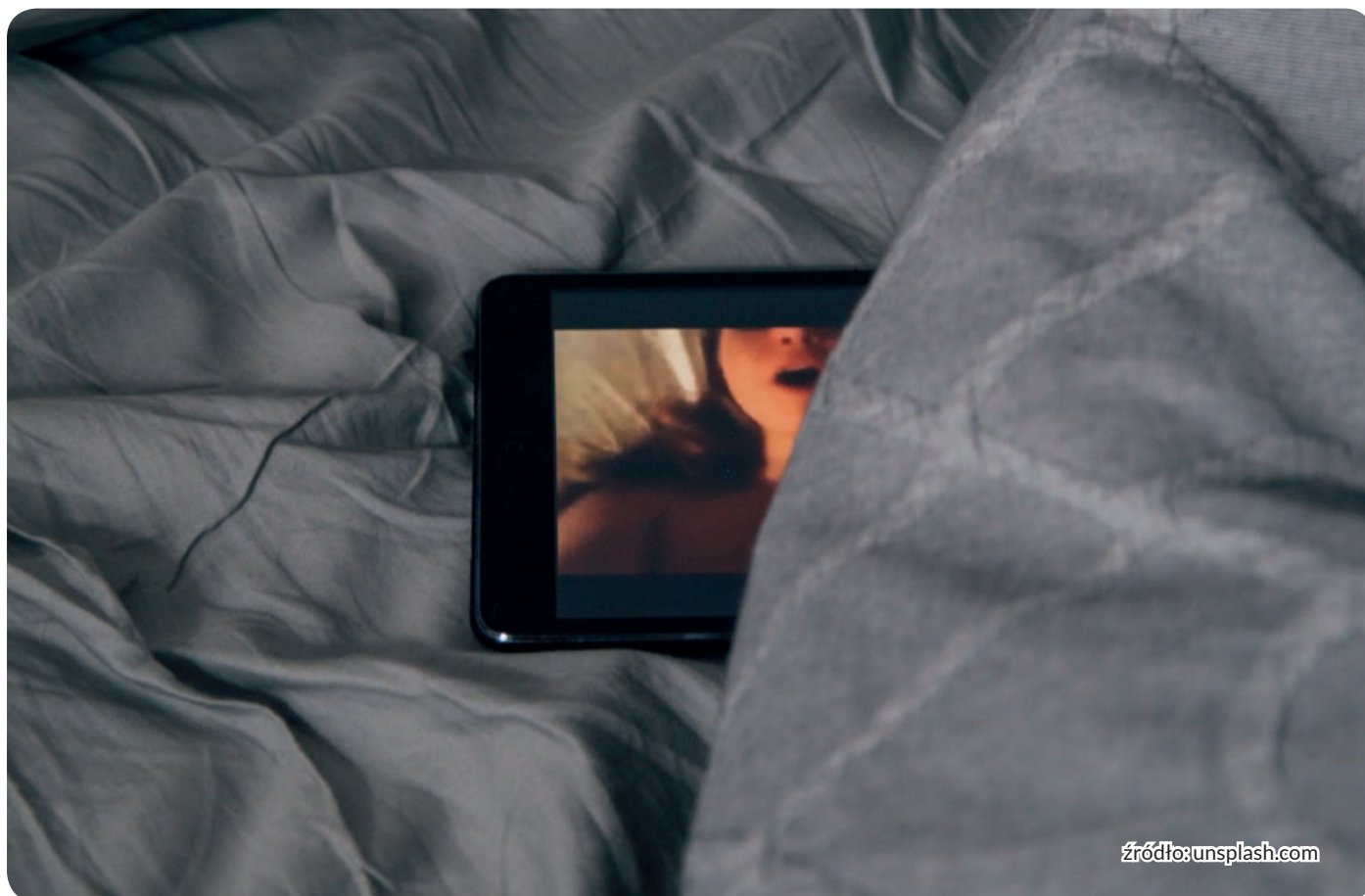
Tutaj dla postronnego, nieświadomego całej sytuacji obserwatora, sportowiec jest faktycznym zwycięzcą. Triumfuje w zawodach, czasem z dużą przewagą nad konkurencją. Zbiera laury i złote medale. Zyskuje sławę i pieniądze.

Co prawda zdarza się, nawet po wielu latach, że taki fałszywy mistrz zostaje zdemaskowany, traci medale i inne zdobyte tytuły. Ale mimo wszystko to organizacje antydopingowe pozostają kilka kroków za nieuczciwymi sportowcami. Czy zatem lepiej zezwolić na stosowanie niedozwolonych dotąd środków i niech wygra „najlepszy”? Tylko dlaczego w takiej sytuacji pokrzywdzeni mieliby być ci, którzy nie próbują chodzić na skróty?

W życiu codziennym też jest wielu ludzi, którzy osiągają sukcesy różnymi drogami. Jednocześnie świat konsekwentnie próbuje ustalać nowe wzorce moralne, czasami diametralnie różne od tych przekazywanych przez Kościół. Nawet u katolików pojawia się pokusa, by pójść właśnie tą drogą: łatwiejszą, szybszą, pozwalającą zdobyć poklask innych. Do tego stopnia, że wolimy dostosować się do nowych zasad, nawet jeśli krzywdzą one tych, którzy dotąd wiernie trwali przy Ewangelii.

Moralność chrześcijańska nie jest układanką, która może być przez nas przedstawiana wedle własnego uznania, ani supermarketem, z którego bierzemy tylko to, co chcemy. Świętości nie da się osiągnąć drogą na skróty. Prędzej czy później każde oszustwo wyjdzie na jaw. I biada temu, który do końca będzie szedł w zaparte. Bo w przeciwieństwie do komisji antydopingowych, kontrola dokonana na Sądzie Ostatecznym będzie w pełni sprawiedliwa, analizująca wszystkie ukryte i jawne decyzje, a także podjęte działania.

Lepiej próbować dojść do celu uczciwymi metodami. Życie w zgodzie z Bogiem to dobre zawody. I chyba nie warto dać się w nich zdyskwalifikować.



źródło:unsplash.com

Pornografia: Widz



Jan Borowski

W Stanach Zjednoczonych pornografia zyskała już niemal powszechną akceptację. Połowa tamtejszych chłopców miała styczność z jej brutalną wersją, zanim jeszcze osiągnęli wiek nastoletni. Skutki pornografii są opłakane.

Na naszym ojczyństym podwórku statystyki nie są na szczęście tak przerażające, chociaż nie napawają optymizmem. Gdy przed rokiem zapytano studentów Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu o filmy porno (Dwulit i Rzymski, 2019: *Prevalence, Patterns and Self-Perceived Effects of Pornography Consumption in Polish University Students: A Cross-Sectional Study*), 80% z nich przyznało, że mieli z nimi kontakt przynajmniej raz. Średni wiek „inicjacji” wyniósł czternaście lat. Ponad cztery piąte z tej grupy sięga po tego typu filmy regularnie, z czego 10% codziennie. 15% osób sądzi, że są lub mogą być uzależnieni – to niemal dziesiąta część grupy wyjściowej.

I co w tym złego?

Jednak samo to, że ktoś korzysta z pornografii nierozsądnie, nie powinno być podstawą do jej krytyki. Podobnie rzecz ma się z alkoholem – uzależnione jest od niego około 2% polskiego społeczeństwa, a aż 12% go nadużywa – ale mimo to alkohol jest dla ludzi. Podobnie niewystarczającym argu-

mentem jest tragiczny wpływ pornografii na rozwój dzieci – bo oficjalnie istnieją przecież ograniczenia wiekowe. Chodzi mi tu więc o pokazanie, że nawet jeżeli osiągnęło się pełnoletniość i zachowuje się umiar, wciąż nie warto sięgać po filmy porno. Przynieść mogą one więcej szkody niż pożytku.

O ile jednak o negatywnych skutkach sięgania po kieliszek mówi się dość powszechnie, nie każdy wie, jakie ryzyko wiąże się z oglądaniem pornografii. Przedstawione niżej badania dowodzą jasno, że koreluje ono z wieloma niepożądanymi czynnikami. Koreluje – to znaczy występuje obok nich. Jeżeli mowa będzie o tym, że oglądanie porno koreluje z większym prawdopodobieństwem rozwodu albo też impotencji, niekoniecznie oznacza to, że jest ono przyczyną, a rozwody i impotencja jego skutkiem. Może być dokładnie na odwrót, a może też istnieć dodatkowy, nieznany trzeci czynnik, który powoduje oba te zjawiska. Na dobrą sprawę nie muszą one być ze sobą powiązane. Większość badań, które analizowałem, nie stara się dowieść, co było przyczyną, a co skutkiem. Dla uczciwości intelektualnej wypada więc ten fakt wziąć pod uwagę.



Wpływ na relacje

Gdy w 2017 roku ponad sześćuset osobom przebywającym w stałych związkach dano ankietę, znaczna większość zadeklarowała „brak negatywnego wpływu” pornografii na ich relację. Tylko trzydzieścioro czworo badanych (nieco ponad 5%) wskazało „brak pozytywnego wpływu”. To pozorne zadowolenie nie ma jednak przełożenia na stan faktyczny. W 2014 roku grupę 20 tysięcy małżonków zapytano, czy w przeciągu ostatniego roku oglądali pornografię, a następnie poproszono ich o ocenę swojego związku. W odpowiedziach uwi-

doczniła się wyraźna zależność: ci, którzy odpowiedzieli twierdząco, uważali rozwód za 25% bardziej prawdopodobny niż inni. Słabsze było także ich zadowolenie z relacji z partnerem, jak i zadowolenie z życia w ogóle.

Szczególnie mocne piętno pornografia odciska na stanie emocjonalnym kobiet. Na wiadomość o tym, że ich partner ją ogląda, reagują często podobnymi symptomami, jak na wieść o zdradzie. Obniżają się ich samoocena i libido, gorzej oceniają swój wygląd, przywiązują większą wagę do swoich wad. Podobnych reakcji nie obserwuje się jednak u mężczyzn, których partnerki oglądają pornografię. Podświadome łącenie pornografii ze zdradą nie jest zupełnie bezzasadne. Związki, w których przynajmniej jeden z partnerów sięga po tego typu filmy, są bardziej na nią podatne.

Zdrowie psychiczne

Również sami oglądający zauważają negatywne skutki emocjonalne wynikające z kontaktu z pornografią. Wśród nich znajduje się obniżone poczucie własnej wartości, uczucie zubożenia lub niedocenianie własnego ciała. Osoby dostrzegające u siebie symptomy uzależnienia są szczególnie narażone na popadnięcie w depresję, stany lękowe. Wyjątkowo silnie odczuwają to ci, którym pornografia kłóci się z wyznawanym systemem wartości lub religią. Taki konflikt moralny, jeżeli utrzymuje się przez dłuższy czas, może prowadzić do katastrofalnych skutków (Guidry i inni, 2019: *The Exacerbating Impact of Moral Disapproval on the Relationship Between Pornography Use and Depression, Anxiety, and Relationship Satisfaction*). Oglądanie pornografii powoduje, że stajemy się bardziej niecierpliwi, gdy przychodzi nam poczekać na nagrodę. Osłabia również pamięć krótkotrwałą.

Niektórzy sądzą, że rozpowszechnienie treści seksualnych może być także jedną z przyczyn rosnącego odsetka młodych mężczyzn mających problemy z erekcją. Profesor Viktor Frankl w książce *Lekarz i dusza* (2017) przeprowadził następujące rozumowanie. Zauważył on najpierw, że pierwsze kontakty seksualne same w sobie są już wydarzeniem niezwykle stresującym. Natomiast wszechobecność seksualności i jej hollywoodzka, stereotypowa wersja nakładają na mężczyzn dodatkową presję. Przekora naszej psychiki jest jednak taka, że im mocniej jakiejś reakcji organizmu pragniemy, tym o nią trudniej. I tym oto sposobem, konkludował psychiatra, przy pierwszych kontaktach seksualnych dochodzi do niepowodzenia, które skutkuje jeszcze większą wewnętrzną presją w przyszłości. Czy teoria ta ma przełożenie na statystyki?

Niepłodność

Istotnie, zgodnie ze statystykami w latach czterdziestych jedynie 1% mężczyzn przed trzydziestką miał problemy z erekcją. W roku 1992 było to 7%. Współcześnie liczne badania wskazują, że liczba ta mogła wzrosnąć aż do 30%. W ciągu pierwszej dekady XXI wieku wśród amerykańskich żołnierzy liczba mężczyzn z takimi problemami podwoiła się. Do tego stanu rzeczy przyczyniają się oczywiście różnorodne czynniki, chociażby coraz większe rozpowszechnienie w przemyśle spożywczym lub odzieżowym pewnych szkodliwych substancji.



źródło: unsplash.com

Pornografia jest tu zatem tylko jedną ze składowych, nie pozostaje jednak bez znaczenia. Inne badanie pokazało, że wśród mężczyzn uzależnionych od jej oglądania jest o 60% więcej cierpiących na dysfunkcje erekcji aniżeli w całej populacji. Przy czym wszyscy ci mężczyźni mieli problem z erekcją wyłącznie w kontaktach seksualnych z innymi ludźmi, ale nie wtedy, gdy oglądali porno. Podkreślić należy, że wciąż jest to korelacja, więc być może mężczyźni ci uzależnili się od pornografii właśnie przez niezdolność do normalnego seksu.

Przemoc i gwałty

Pornografia pozostawia oglądającemu wrażenie, że przyjemność seksualna jest w każdej chwili na wyciągnięcie ręki. Natomiast sceny przemocy w niej zawarte dają ciche, podświadome przyzwolenie na to, by sięgając po nią, posunąć się nawet do gwałtu. Zwracał na to uwagę dr John D. Foubert, który występował w Białym Domu oraz w amerykańskim Kongresie jako ekspert od przeciwdziałania przemocy seksualnej. W jednym ze swoich raportów (2010: *The Public Health Harms of Pornography: The Brain, Erectile Dysfunction, and Sexual Violence*) przytoczył badania, z których wynika, że 88% scen w filmach pornograficznych – nie 88% filmów, ale samych scen w nich zawartych – zawiera akty przemocy fizycznej bądź werbalnej. Zwykle jest to przemoc w stosunku do kobiet. Co jednak ciekawsze, a również bardziej niepokojące, aż w 95% przypadków, ankietowani, którym pokazano takie sceny, nie mieli wobec nich obiekcji lub nawet przyznawali, że podoba im się to, co widzą. Ponad pięćdziesiąt różnych badań (zarówno korelacyjnych, przekrojowych, jak i eksperymentalnych, długoterminowych) potwierdza ścisłe powiązanie między oglądaniem pornografii a przemocą seksualną.

Mogłoby się również wydawać, że z roku na rok odsetek nagrań prezentujących brutalne porno rośnie. Całe szczęście utrzymuje się on jednak na mniej więcej stałym poziomie, gdy tymczasem coraz więcej filmów zawiera sceny o charakterze typowo romantycznym. Można to uważać za trend pozytywny, chęć zmiany oblicza pornografii. Być może jednak zjawisko to spowodowane jest wyłącznie tym, że coraz większą grupę odbiorców stanowią kobiety, a sceny tego typu wpisują się w ich potrzeby.

Ciąg dalszy wkrótce

Warto o tych sprawach mówić przede wszystkim dla zwiększania świadomości, że oglądanie pornografii nie jest obojętne moralnie. Nie chodzi już tylko o cnotę czystości, która dla wielu z nas może wydawać się jakąś abstrakcją. Jak widać, nasza decyzja o tym, czy oglądamy filmy porno, ma realne przełożenie na to, jakimi staniemy się ludźmi. Oczywiście można argumentować, że wszystko jest dla ludzi – i do pewnego stopnia to racja. Przed nami stoi jeszcze jedno pytanie: czy aby na pewno chcemy wspierać przemysł, który nierzadko gardzi godnością człowieka i wykorzystuje go dla materialnego zysku. O tym przemyśle i o mechanizmach jego działania będzie można przeczytać w kolejnej części tego artykułu, która ukaże się w następnym numerze miesięcznika „Adeste”.



Wola miłości



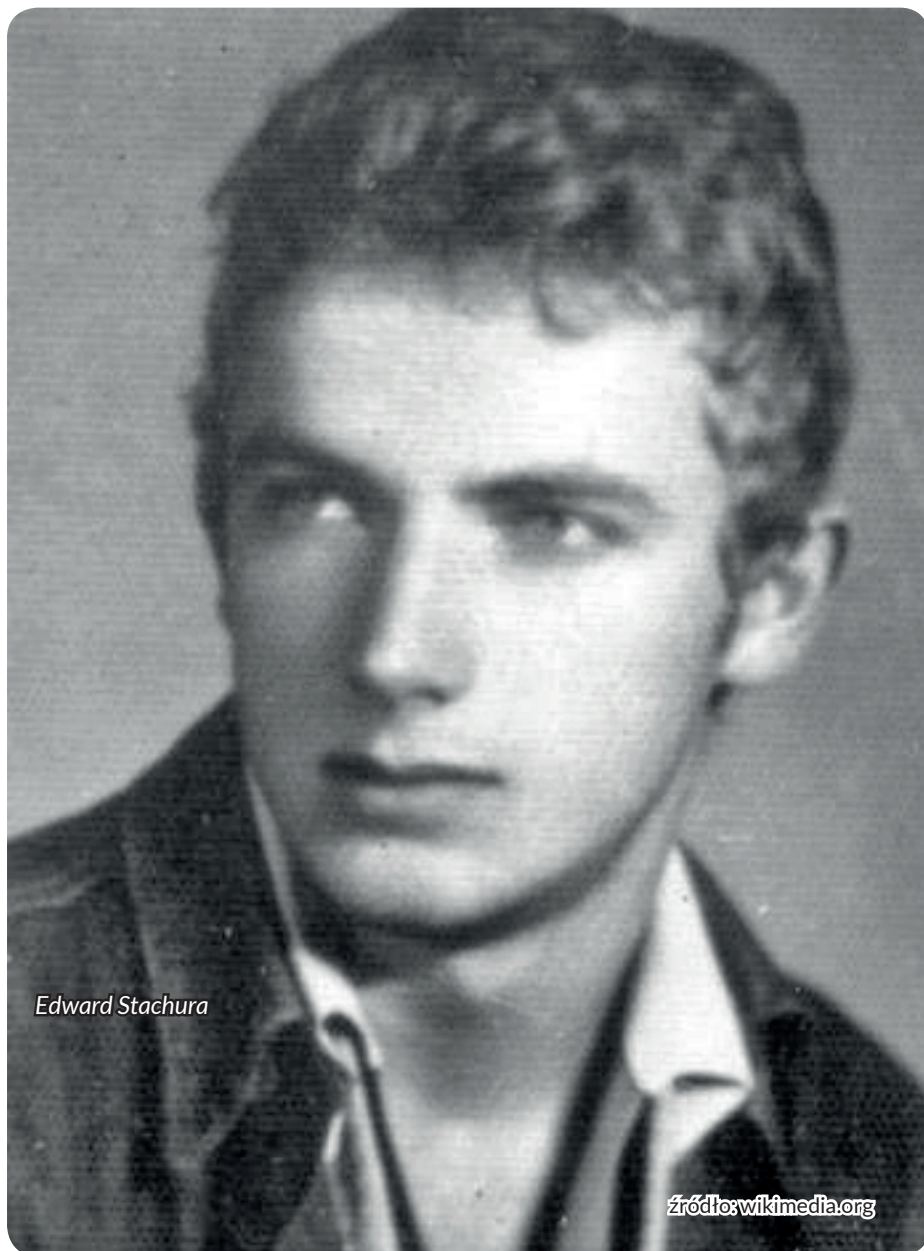
Piotr Krajski

Wolny ptak jest najwspanialszym stworzeniem tego świata (Stachura E., *Pokocham ją siłą woli*, *Się*, 1977, s. 183)

Zbiór opowiadań Edwarda Stachury *Się* zawiera opowiadanie *Pokocham ją siłą woli*. Spoglądając na datę jego wydania (1977 r.), można zapytać: na ile jest ono aktualne, zwłaszcza dla młodych? Z jednej strony odpowie na to analiza samej treści, z drugiej można dostrzec, że to właśnie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dokonywała się obyczajowa rewolucja. W tamtym okresie zapewne łatwiejsze do wyłapania były zmiany, jakie realizowały się w sferze postrzegania relacji damsko-męskich, także przez kogoś, kto był dobrym obserwatorem i kogo niespokojny charakter często stawiał w opozycji do otaczającej rzeczywistości.

Edward Stachura to pisarz nieco zapomniany. Z jednej strony jest nadal obecny w kulturze, teksty jego piosenek i wierszy wykonują różne zespoły, corocznie organizowana jest „Stachuriada” – festiwal poświęcony poezji śpiewanej, po jego teksty sięgają wykonawcy na festiwalach piosenki aktorskiej.

Z drugiej strony twórczość Stachury to jednak nie tylko piosenki i poezja, ale także proza: powieści i opowiadania, o których warto przypomnieć. To właśnie ze wspomnianego zbioru *Się* pochodzi opowiadanie autora, które samym swoim tytułem sugeruje temat miłości.



Edward Stachura

źródło: wikipedia.org

Monolog dwóch osób

Pokocham ją siłą woli przedstawia dialog dwojga bohaterów, choć precyzyjniej byłoby nazwać go monologiem. W pokoju siedzą mężczyzna i kobieta. To ona zwierza się, podczas gdy mężczyzna słucha i myśli, reaguje na niektóre słowa zaledwie skinieniem głowy. Stachura nie wprowadza nas w sytuację, nie opisuje dokładniej bohaterów, nie tłumaczy powodu spotkania. Istotny nie jest jednak kontekst, ale sama treść, słowa, które padają, i myśli towarzyszące temu wyznaniu. Tak właśnie można nazwać to, co mówi kobieta. Z pewną trudnością przedstawia swoje spojrzenie na relację, tworzenie związku, na rozumienie miłości. Dąży stopniowo do kluczowego pytania. Reakcje bohatera na te słowa, myśli, które odczytujemy, są tu równie istotne.

Przeciwko nachalnej wulgarności świata

Gdy kobieta powoli przechodzi do swojego wyznania, mężczyzna zauważa, z jaką delikatnością dobiera ona słowa, jak naturalnie się uśmiecha, dostrzega, że w zachowaniu dziewczyny nie ma nic nachalnego, sztucznego, prowokacyjnego. Jak sam podkreśla, wyłapuje on takie szczegóły, bo są one dla niego czymś napawającym nadzieją wobec „nachalnej wulgarności świata”.

Dziewczyna zwraca uwagę, że od dawna w jej życiu nie było żadnego mężczyzny, zaznacza jednak, że był to świadomy wybór. „Brzydzę się tą grą, tym łaszeniem, tym podchodzeniem, tym skradaniem się” (tamże, s. 177). W jakimś sensie słowa te korespondują z wcześniejszymi uwagami mężczyzny na temat kobiety. To, co mówi bohaterka, odsyła nie tylko do jej charakteru, ale i do obserwacji zachowań

innych osób. O tym też mówi niedługo później; o ludziach, którzy budowanie relacji opierają na pewnym rodzaju gry, podchodach, udawaniu kogoś innego, by zdobyć czyjąś uwagę, często kierując się bardzo zewnętrznymi oznakami, myśląc o bardzo krótkim, przejściowym związku, często o spotkaniu na jedną noc.

Przeciwko mnogości

Kobieta podkreśla, że tym, co jeszcze bardziej ją brzydzi niż owa sztuczność, gra, udawanie, by kogoś „zdobyć”, jest „mnogość”. Warto tu zacytować większy fragment jej wypowiedzi:

„Ja nie jestem wieloma kobietami. Jestem jedną kobietą i chcę być jedną. I nie chcę wielu mężczyzn. Chcę jednego. Chciałabym. Rozmawiam nieraz z koleżankami, tak ogólnie, ale trochę też o tym, i one mówią: »Trzeba mieć zdrowy stosunek do tych spraw«. Zdrowy stosunek według nich to spać z każdym mężczyzną, który się podoba, który jest przystojny albo miły, ujmujący, albo który kobiecie czymś imponuje, szybką jazdą na motorze, szampańskim wydawaniem pieniędzy albo grą na gitarze, albo czymś w tym rodzaju. Jeżeli to jest zdrowy stosunek, to mój jest chory. Ale ja nie myślę, że mój jest chory. Nie mogę, a nawet gdybym mogła, nie chcę spać z wieloma mężczyznami, z drugim, trzecim, piątym. Z jednym chciałabym” (tamże, s. 180).

Z pozoru ta prosta wypowiedź zdaje się mieć w sobie wiele znaczeń. W wierności drugiej osobie może się zawierać także integralność człowieka. Być „jedną kobietą”, „jedną osobą”, rozumiane jako dzielenie z drugą osobą w sposób niepowtarzalny swoich uczuć, w sposób szczególny, jedyny. Taki związek nie opiera się na chwilowym zaimponowaniu jakąś cechą czy zdolnością lub jedynie na fizycznym pociągu, który ogranicza całą relację do sfery seksualnej, chwilowej, po której pojawiają się kolejne, krótkie związki. Tutaj wierność jest fundamentalną kwestią dla zachowania przez nas samych tożsamości i spójności. Jest to element kluczowy dla bycia w zgodzie z sobą i drugim człowiekiem. Ponieważ związek rozumiany jako relacja w miłości nie jest nigdy próbą, eksperymentem, sprawdzaniem siebie, ale jest konsekwentnym rozwojem siebie jako człowieka dzięki drugiej osobie, z którą znajdujemy porozumienie, bliskie sobie cechy, myślenie, uczucia. To być może już pewne rozwinięcie myśli z zacytowanego fragmentu, ale zdaje się, że w typowy dla siebie sposób Stachura w słowach, które wydają się proste, zawiera wiele głębi. Podkreśla także, że dla wielu osób „zdrowy stosunek do tych spraw” to podejście, które odrzuca wierność, bo nie liczy się trwałość, ale dany moment. Ma to jednak swoje konsekwencje dla nas samych, podaje w wątpliwość naszą szczerość,



źródło: pexels.com



naszą własną osobowość, gdy uczucia bardzo głębokie czynimy chwilowymi i powierzchownymi, silne trwałe pragnienia bliskości zamieniamy w chwilowe doznanie pozbawione kontynuacji. Po tej wypowiedzi dziewczyna podkreśla, że jest za „wiernością absolutną” i zauważa: „w ten sposób, w ten chyba jedyny sposób byłabym też sobie wierna. Byłabym taka, jaka chcę być i jaka naprawdę jestem” (tamże, s. 183). To zdanie właściwie dobrze podsumowuje wcześniejsze uwagi o integralności osoby, o zachowaniu własnej tożsamości, byciu wiernym samemu sobie przez wierność drugiej osobie. W ten sposób kobieta podkreśla także, że jej wybór nie jest podyktowany jakimś zewnętrznym nakazem, obyczajem, opinią rodziny. Jest jej decyzją, która wynika z wewnętrznego przekonania.

Prawdziwa wolność

Na te słowa w mężczyźnie pojawia się bardzo poetycka myśl, której znaczenia, jak sam przyznaje, nie jest pewien. Z niej jednak także można wyczytać konkretną myśl: „Wolny ptak jest najwierniejszym stworzeniem tego świata” (tamże, s. 183). Zdaje się, że ta intuicyjna, poetycka fraza, będąca reakcją na całe wcześniejsze wyznanie kobiety, mówi jedno: w wierności zawiera się wolność człowieka. Nie jest on wtedy targany zmiennymi uczuciami, które przerzuca na kolejne osoby, nie staje się chwiejny, nie kieruje się zewnętrznymi chwilowymi popędami, traktując w ten sposób powierzchownie nie tylko osoby, które spotyka na swojej drodze, ale też samego siebie. Kiedy porzuca wierność, czyni siebie pozbawionym stałości i pewności co do własnych uczuć, myśli i pragnień. Ten wolny ptak zanurzony w wierności – odwrotnie: zachowuje własną tożsamość, swoją własną osobowość, wierny sobie samemu przez wierność drugiej osobie nie staje się niewolnikiem, jest pewny samego siebie. Nie trwa w sprzecznościach.

W tym momencie dochodzimy do istotnego momentu w opowiadaniu, gdy bohater w myślach przyznaje, że jest osobą, która wiele doświadczyła, która czuje się w tym momencie niezdolna do mi-

łości, choć w pełni zgadza się z poglądami kobiety. Stwierdza dlatego, że chociaż nie potrafiłby sercem, mógłby pokochać kobietę „siłą woli”.

Znów, choć przewrotnie, Stachura odnosi się do wolności. Fragment ten można odczytywać też jako podkreślenie, że bohater jest w momencie życia, który różni go od kobiety, gdyż nadal odczuwa skutki jakiegoś konkretnego zranienia. Stachura nam tego nie tłumaczy, nie ukazuje powodów. Bohater jest świadomy, że po owych przejściach być może będzie musiało minąć trochę czasu, kiedy poza wolą i przekonaniem, że także takiej miłości poszukuje, będzie w stanie w pełny sposób zaangażować się w związek, na jaki gotowy jest kobieta.

Pomimo wydźwięku zakończenia, którego nie chcę zdradzać, Stachura w tym krótkim, ale gęstym od znaczeń opowiadaniu zawiera konkretną wizję relacji. Przecistawiana jest ona dominującej koncepcji związku w społeczeństwie, a przynajmniej w środowisku osób, w którym obracają się główni bohaterowie. Jak zostało wspomniane, dla innych „zdrowie podejście” do związku jest powierzchowne, przygodne, chwilowe, oparte na grze, zdobywaniu, blefie, egoizmie. Takiej wizji Stachura przeciwstawia obraz relacji, w której jest szczerość, delikatność, wierność, wolność, dzięki którym człowiek jest w stanie być jedną osobą, jednym mężczyzną i jedną kobietą. Zachować swoją spójność jako człowiek. Taka miłość, takie widzenie relacji wydaje się być w zgodzie z człowiekiem, z jego naturą.

Warto wrócić jeszcze na chwilę do daty powstania opowiadania. Cytując powyższe fragmenty, myśląc o dzisiejszych czasach, nie trzeba byłoby zmieniać zbyt wiele. Doszłyby pewne nowe zjawiska potęgujące te ukazane w opowiadaniu, ale w swojej istocie tekst Stachury jest zaskakująco aktualny. Przecistawienie dwóch sposobów myślenia o związku, o relacji. Przekonanie, że nawet pozostając w mniejszości, warto być wiernym samemu sobie i drugiemu człowiekowi, tym samym zachowując w tym świecie zmienności stałą, wieczną wartość, której pragnie dwoje bohaterów opowiadania Stachury.



źródło: unsplash.com



źródło: unsplash.com

Czego pragnie chłopiec?



Jakub Urbaniak

Gdybyśmy zapytali młodego chłopca o jego pragnienia, pewnie bylibyśmy zaskoczeni różnorodnością uzyskanych odpowiedzi. Jednak w życiu każdego chłopca przychodzi taki moment, kiedy musi zapragnąć stać się mężczyzną. Wydaje mi się, że większość z nas ten moment przegapiła albo przespała, a nasz świat zapełnia się dobrymi chłopcami albo buntownikami. Ale nie mężczyznami.

Dzikie serce

„Czego pragnie chłopiec?” – to jedno z pytań, które pojawia się w książce Johna Eldredge’a *Dzikie serce. Tęsknoty męskiej duszy*. Książce, która mimo że w wielu momentach do mnie nie przemawia, to jednak robi wrażenie, a co ważniejsze – spełnia swoją najważniejszą funkcję: zmusza do myślenia. O tym, jakim jest się mężczyzną i czego się pragnie. Albo czy w ogóle jeszcze się czegoś pragnie. Nie chcę tutaj jednak recenzować książki, ale wspomnieć o kilku kwestiach, które porusza.

„Dzikie serce” jest wpisane w naturę mężczyzny od samego początku, od momentu jego stworzenia. Kiedyś ta „dzikość” pozwalała nam przetrwać i rozwijać się w dzikim świecie. Jednak obecnie świat

już taki nie jest, a przynajmniej nie wydaje się taki na pierwszy rzut oka. I w tym miejscu pojawia się pewna spowodowana „dzikością” tęsknota, która nie znajduje ujścia. Tutaj powracamy do pytania z tytułu. Jakie obrazy pojawią się w głowie mężczyzny, gdy cofnie się do czasów młodości i przypomni sobie, o czym marzył oraz czego pragnął? Czy będzie to spokojne i bezproblemowe życie, czy raczej wizje przepełnione akcją, adrenaliną i niejednokrotnie brudnym od błota i przygody ubraniem? A gdzie teraz podziały się nasze pragnienia młodości? Albo inaczej. W jaki sposób tłumimy nasze pragnienia?

Rana

Ów stan rzeczy, swoistego zagubienia w męskości, można łatwo zrzucić na obecne czasy, w których „dzikość” nie jest już przydatna, w których nie oczekuje się już od mężczyzn tak wiele jak dawniej, w których chce się zniwelować naturalne różnice między kobietami a mężczyznami. To dość proste wytłumaczenie. Jednak moim zdaniem bardzo niewłaściwe. Bo większość przyczyn kryzysu męskości, a już na pewno jego początek, bierze się z naszego serca. Serca, które niejednokrotnie jest bardzo poranione. Serca, do którego nie chcemy się przyznać.

Rana ta, jak pisze Eldredge, najczęściej zadawana jest nam w dzieciństwie przez rodziców. Początkuje ją pierwsze i niewłaściwe poskramianie chłopięcej energii, która przejawia się w zadziorności, w byciu niegrzecznym. To te momenty, kiedy chłopcy zaczynają komuś dokuczać albo robić coś niebezpiecznego. Zamiast we właściwy sposób pokierować tą młodzieńczą energią, wykorzystując ją do rozwijających i wychowawczych rzeczy, rodzice najczęściej całkowicie ją tłumią. Nakazują mu być dobrym i grzecznym chłopcem. Ta rana powiększa się w każdym momencie krytyki za to, jakim się jest albo nie jest. Ostatecznie serce młodego mężczyzny staje się rozdarte, gdy zostaje on odrzucony przez swego ojca bądź inną bliską osobę, która była dla niego wzorem do naśladowania. Nie chodzi tutaj tylko o odrzucenie fizyczne. Wielu chłopców, mimo że ma w domu ojca, wychowuje się, jakby go nie było. Często również okazuje się, że ten ojciec zapomniał, co to znaczy być mężczyzną dla swojej rodziny i dzieci. Eldredge przywołuje przykład kolegi, który w dzieciństwie bardzo lubił grać na pianinie. Nie był jak swoi bracia, którzy całe dni spędzali na boisku. Pewnego razu, gdy jego ojciec i bracia wrócili z meczu, dostrzegli chłopca siedzącego przy pianinie. Wówczas ojciec powiedział o synu, że jest „pedziem”. Był to dla niego ogromny cios, który na zawsze zranił ser-



źródło: unsplash.com



ce młodego mężczyzny. Ojciec obdarł go z godności i wartości. O takie właśnie zranienie chodzi, brak zrozumienia w oczach swojego autorytetu. Brak chociażby najdrobniejszej pochwały i ciągle poczucie zawodu. Mogłoby się wydawać, że to jedynie użalanie się nad sobą. A jednak ta rana w sercu może sparaliżować całe życie. Nie pozwala chłopcu stać się mężczyzną.

Dobry chłopak

Mamy być dobrymi i grzecznymi chłopcami. Nie dzikimi. To słowa, które większość z nas usłyszała bardzo wcześnie, może nawet zanim w ogóle zaczęliśmy rozumieć znaczenie słów. I od tego momentu pojawiają się dwie niewłaściwe drogi: albo młody chłopak stanie się już na zawsze „dobrym chłopcem”, albo buntownikiem. W pierwszym przypadku przez całe życie będzie tylko dobrym chłopcem, takim, który za bardzo boi się życia i świata, by działać, który nie będzie znał swojej wartości. Będzie się bał podejmować wyzwania i wchodzić w relacje, a nawet jeśli mu się to uda, to będzie... tylko dobrym chłopcem. Bez charyzmy, bez woli walki, bez pragnienia czegoś więcej. W drugim przypadku chłopak zbuntuje się przykazaniu bycia dobrym. Stanie się obojętny i cyniczny, będzie z pogardą podchodził do innych ludzi i ze swobodą do relacji, zwłaszcza tych z kobietami. Stanie się, mówiąc prościej, złym chłopcem. Jednak nie „dzikim”.

„Gdzie się podzieli prawdziwi mężczyźni?” – to pytanie pojawiło się zapewne w głowie każdej kobiety. I nic dziwnego, gdyż z jednej strony jest rzesza grzecznych chłopców, którzy czasami wręcz przepraszają, że żyją i boją się stawić czoła życiu oraz relacjom, a z drugiej, tłum buntowników niepotrafiących się zaangażować i oddać relacjom, na każde poczucie strachu reagujących złością i agresją. Często te dwie drogi się przeplatają i już nie wiemy, kim jesteśmy. Gubimy się w tym świecie. Pojawia się myśl, że może warto byłoby stać się prawdziwym mężczyzną.

Jednak mężczyzna niesie w sobie wielki ciężar. Potężny obowiązek. Jakąś odpowiedzialność. A my boimy się tego słowa. Niewielu znajduje w sobie siłę, aby przyjąć pełne obowiązki miano mężczyzny.

Uleczyć ranę

Jedynym sposobem na uleczenie ran serca jest odnalezienie swojej pierwotnej wartości. Odnalezienie pragnienia i ciekawości życia. Nie jest to proste, bo wymaga zmierzenia się ze swoimi lękami. Tak wielu mężczyzn w dzisiejszym świecie po prostu się boi, dlatego że nigdy nie mieli stabilnego oparcia, chociażby w postaci prawdziwego ojca. Gdy jest się już dorosłym, to trudno te rany uleczyć, dlatego większość woli zostać którymś z wyżej wspomnianych typów chłopca. Jak z tego wszystkiego wyjść?

Jak uświadomić sobie swoją wartość mimo tyłu ran w sercu?

Najpierw trzeba zbudować prawdziwą relację z Bogiem. Z Tym, który od samego początku jest naszym kochającym Ojcem, a którego może odrobinę odsunęliśmy na bok lub którego po prostu nie dostrzegamy. To Ojciec, który nie zadał nam żadnej rany i który jako jedyny widzi w nas prawdziwych i wystarczających mężczyzn. Wielu chłopców nigdy nie usłyszało tego od ziemskich ojców: że są odpowiedni, że są wystarczający. A to bardzo potrzebne do zdrowego wzrastania.

Gdy naprawi się swoją relację z Bogiem, po jakimś czasie powraca do serca mężczyzny jego wartość, a wraz z nią głód życia. Chłopiec przestaje być byle jaki, staje się mężczyzną. Już się nie boi rzeczywistości, nie boi się relacji, nie boi się odpowiedzialności. Nie musi zaspokajać się suplementami życia i kłamstwami. Może wreszcie zacząć żyć. Jego dawne dzikie serce przemienia się w serce pragnące życia, pragnące więcej. To jest prawdziwa siła mężczyzny – pragnienie życia. Całkowity sukces odnosi wtedy, gdy to pragnienie przemieni się w wielkie pragnienie życia wiecznego. Marzenie, by nie być tylko dobrym, ale i świętym.

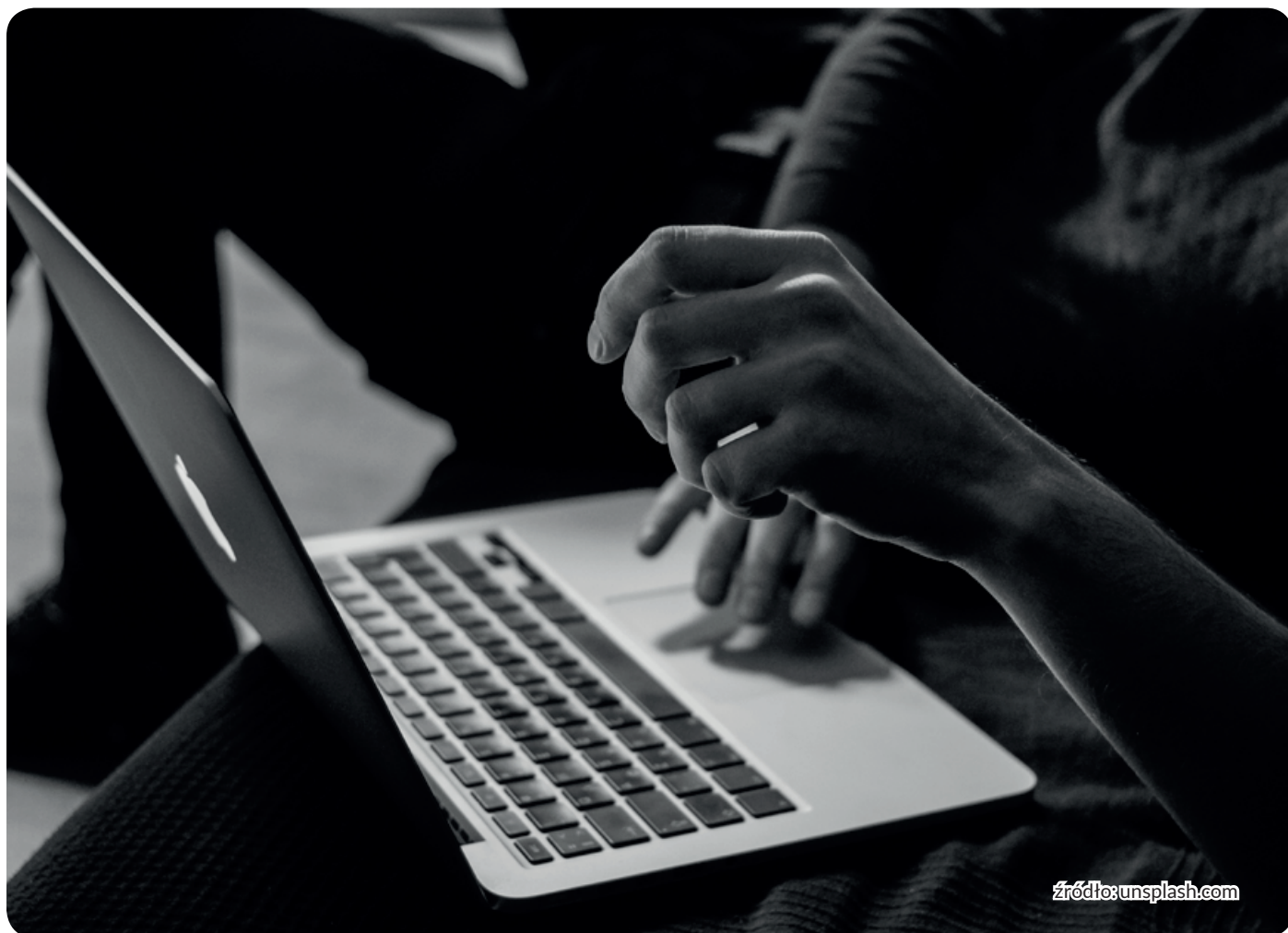
Przeżyć przygodę

Gdyby podsumować powyższe zagadnienia i spróbować odpowiedzieć na pytanie, jaki ma być prawdziwy mężczyzna, chyba najlepszą odpowiedzią będzie to, że powinien pragnąć życia. Powinien tęsknić za pasją, wolnością, działaniem, za byciem nie byle jakim. O tym przecież marzył jako mały chłopiec – by zdobywać świat. Większości chłopców tego pragnienia nie udaje się obronić. Powody, które tutaj przywołałem, to załedwie czubek góry lodowej. Po więcej przykładów ran w sercu mężczyzny polecam sięgnąć do wspomnianej książki Johna Eldredge'a.

A wszystkich mężczyzn zachęcam, aby na moment się zatrzymali i pomyśleli o tym, czego pragnęli jako chłopcy. Co było ich prawdziwym pragnieniem. I co potem z tym pragnieniem zrobili. Udało się je obronić, a może zostało ono zranione? A jeśli nadal mają je w sobie, to co zrobili, by znaleźć Tego, który może ich uleczyć. Naprawić. I przywrócić im pragnienie życia i działania.



źródło: unsplash.com



Listy Pielgrzyma – wpis piąty



Tomasz Leszczyński

Warszawa, 31.05.2018

„Wpadłem w pułapkę. Uwolnij mnie, Boże”

Nie minęło wiele czasu od mojego ostatniego listu, a już wpadłem w sidła tego, którego nie spodziewałem się, że wpadnę. Pornografia, masturbacja, seks. Im bardziej zagłębiałem się w swoje potrzeby seksualne, tym bardziej zacząłem zauważać, ile zła potrafi wyrządzić to sumieniu. A mimo to robiłem to z przyjemnością. Dlaczego? Łatwiej było rozładować swoje emocje, nerwy, patrząc, jak para ludzi namiętnie gwałci własne sumienia. Nie z miłości, a z pożądania. Dla pieniędzy.

Czy było mi to potrzebne?

Oczywiście, że nie. W ten sposób po prostu spełniałem swoje zachcianki emocjonalne. Nie zawsze jednak byłem w stanie dostrzec, co robi to z moją duszą, poczuciem własnej wartości. Samotność była

zawsze silniejsza, mimo że mam dziewczynę; że ona i ja kochamy się, to jednak... Wstyd mi o tym pisać, a jednak otwieram się przed Tobą. Chciałbym ostrzec. To nie jest tak, że Kościół mówi, że to grzech, a gawiedź ma słuchać i nie myśleć o tym. To niesie realne konsekwencje. Złe spojrzenie na kobiety, czasem nawet traktowanie ich przedmiotowo.

Czuję się samotny, mimo że mam kobietę, pracę, przyjaciół.

Gdzie jest haczyk?

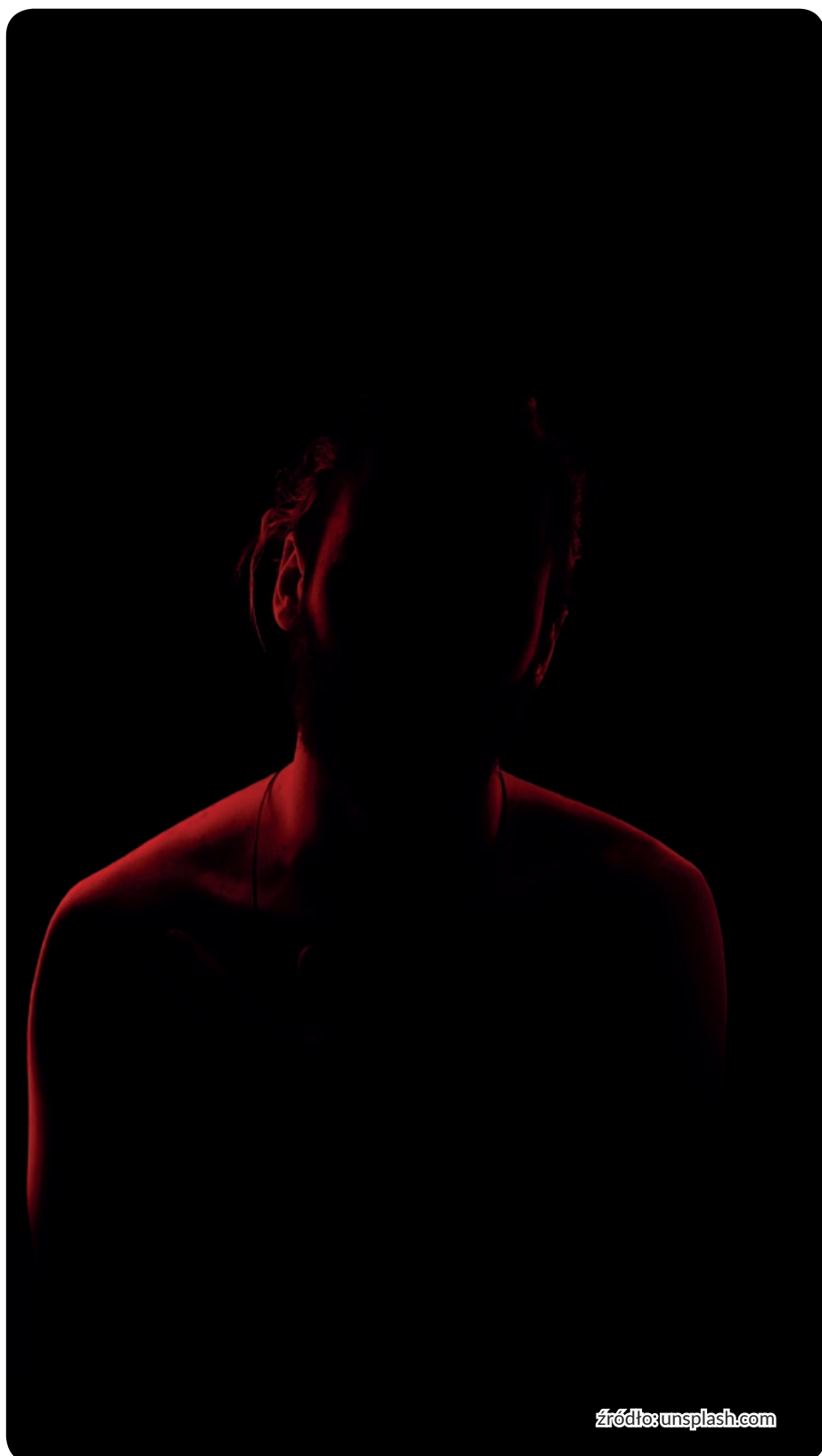
W uzależnieniu. W stanie, kiedy potrzebna jest pomoc przede wszystkim psychologa. Potrzeba seksualna różni się od uzależnienia. Często w taki sposób tłumaczymy sobie nasze małe grzeszki: „By sobie ulżyć”. Okłamujemy sami siebie.

Czy można temu jakoś zaradzić?

Tak. Przede wszystkim modlić się. Modlitwa w momencie pierwszego przyjscia samej pokusy może skierować myśli w inną stronę – w stronę Ojca. A z drugiej strony wyraźnie działa, gdy z wiarą przystępujemy do niej, prosząc o odebranie tego ciężaru. Bóg nas słucha. I to jest najważniejsze – by w pełni Mu zaufać.

Wasz Pielgrzym

a⁺



źródło: unsplash.com